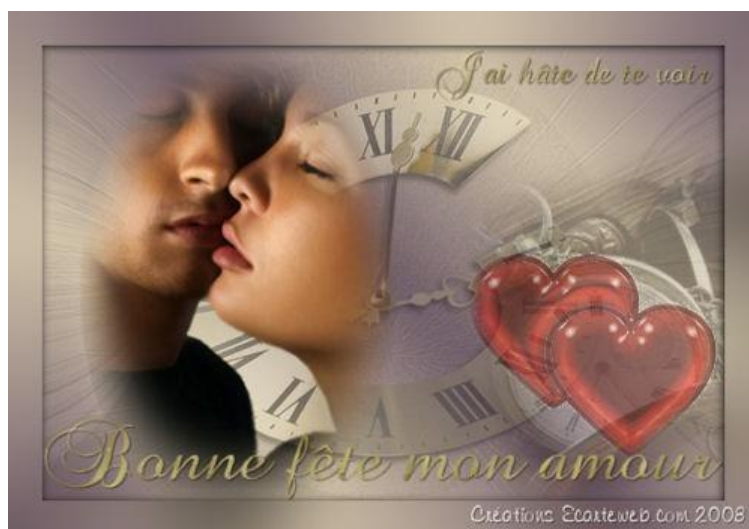




**MEGAN LANE**



**KRĘTE ŚCIEŻKI**

## ***ROZDZIAŁ I***

Valentine westchnęła ciężko. Chciała wierzyć, że wszystko, co do tej pory się wydarzyło, było tylko koszmarnym snem. To nie ona stała za kurtyną, ubrana w za duży kostium, obwieszona niczym choinka złotymi bransoletami, wisiorkami. Właściwie, oprócz cieniutkiego, delikatnego paska ze złotych monet i kilku kawałków przezroczystego, jedwabnego materiału, nie miała na sobie nic. To nie była ona! Niemożliwe, aby ze swojej małej piekarni w Wirginii trafiła w takie miejsce.

Westchnęła ponownie. Nie chciała narażać na szwank swej reputacji, ponieważ z własnego doświadczenia знаła konsekwencje takiego kroku. Kiedy jeszcze mieszkała w Bostonie, jej narzeczony, Brady, z którym pracowała w banku, dopuścił się malwersacji, a następnie skierował podejrzewania na nią. To był straszny cios. Sądziła, że Brady ją kocha; nawet nie przypuszczała, iż mógłby zrobić coś takiego. Na szczęście dyrektor banku miał do Valentine zaufanie i przeprowadził dokładne śledztwo, które uwolniło ją od zarzutów. Jednak skandal towarzyszący tej sprawie długo nie pozwalał dziewczynie zapomnieć. Wiedziała, że w przyszłości będzie bardzo ostrożna, nim ponownie zwiąże się z kimkolwiek.

- Pospiesz się, Val!

Głos Tricii Haldran uświadomił jej, że nie śni. Była tu naprawdę i tylko chwile dzieliły ją od występu.

- Muzyka zaraz się zacznie - ponaglała Tricia. - Jest tam stado dzikich facetów, którzy rozniosą całą tę budę, jeśli każemy im czekać zbyt długo.

- Nic mnie to nie obchodzi, nie wyjdę! Po prostu nie mogę. Nie wiem, w jaki sposób udało się wam namówić mnie do tego występu. Przecież nie mam pojęcia, jak wygląda taniec brzucha.

- Pozwól, że ci przypomnę - odparła coraz bardziej zdenerwowana Tricia.  
- Były dwa powody: pieniądze i przyjaźń. Ty potrzebowałaś forsy, a Pat - kogoś, kto by ją zastąpił.

- To prawda! Jestem tak bardzo zdenerwowana, że sama nie wiem, co mówię.

Pat właśnie zachorowała na gripę i nie mogła dzisiaj tańczyć. Ale najgorsze było to, że pan Carruthers podwyższył czynsz o pięćdziesiąt dolarów, co spowodowało kłopoty finansowe Valentine. W tej chwili jednak wydawało się jej, iż nawet te powody nie usprawiedliwiają głupiej decyzji.

- Gdybyś była miłsza dla pana Carruthersa, nie miałabyś teraz problemu z pieniędzmi - powiedziała słodko Tricia, jakby czytając w myślach koleżanki. - Kochanie, on chciał być tylko twoim słodkim tatusiem. Musiałabyś jedynie uśmiechać się miłutko i pójść z nim kilka razy na obiad. On czułby się jak w raju, a ty nie miałabyś żadnych kłopotów.

- Wstydzilibyś się! Nie potrzebuję takiego opiekuna. Ten facet mógłby być moim dziadkiem.

Tricia roześmiała się.

- Nie nadążasz za duchem czasu, Val. Pan Carruthers dobija sześćdziesiątki, a ty masz dwadzieścia pięć lat. Takie związki grudnia z majem są teraz bardzo modne.

- I co z tego?! Nie chcę mieć nic wspólnego z takim romanssem. Nikt mnie do tego nie zmusi! - odpowiedziała oburzona. - Nie mogę sobie nawet wyobrazić, że ten stary chciał użyć swoich pieniędzy, by mnie zdobyć - dodała i pomyślała: „Musiał odkryć, że jestem tu nowa i nie mam żadnych przyjaciół. A na początku sprawiał takie przyjemne wrażenie: ot, miły, starszy pan pomagający z dobroci serca samotnej dziewczynie. Pozory mylą”

Głos Tricii ponownie wyrwał ją z zamyślenia.

- Tylko pamiętaj o ruchach, które razem ćwiczyliśmy, a wszystko będzie OK. - Poprawiła nerwowo kostium. - A poza tym, ukończyłaś przecież kurs tańca, prawda?

- Owszem, tydzień temu! - odparła Valentine, spoglądając na jędrne piersi i opalony brzuch Tricii. Wiedziała, że ze swoją bladą cerą i szczupłą sylwetką ma niewiele wspólnego z tą doświadczoną tancerką. - Wiesz przecież, że nie potrafię poprawnie wykonać tańca brzucha; nie mam czym kręcić i kołysać. Moje ruchy węża wyglądają śmiesznie; jakby ktoś właśnie na niego nadepnął i próbował zabić, a gdy naśladuję krok wielbłąda, słaniam się na nogach, jakby wielbłąd umierał właśnie z pragnienia na spalonej słońcem pustyni. - Potrzęsnęła stanowczo głową. - Ja po prostu nie mogę być tancerką. Ukończyłam kurs tylko dla zabawy, by poznać nowych ludzi. Nigdy nie miałam zamiaru tańczyć publicznie!

- Val, za bardzo przejmujesz się tym wszystkim. Zbyt dużą uwagę przywiązujesz do stroju, do swojego wyglądu. Wszystko będzie dobrze. Przyzwyczaisz się do publiczności, ohydnej zresztą, która jest tu po to, żeby się tobą bawić. I ty spójrz na to z tej strony! Zabaw się razem z nimi! Potraktuj wszystko jak nocną przygodę!

- Bawić się?! - powtórzyła z niedowierzaniem. - Ty traktujesz to jak spotkanie znajomych w sklepie. Ja czuję się jak pączek na wystawie, słodki i świeży - tylko zjeść!

Tricia znowu roześmiała się i Valentine doszła do wniosku, że dziewczęta nie tańczyły tu tylko po to, by zarobić na nowe studio taneczne. Robiły to dlatego, że kochały taniec; miały go we krwi.

- Dla ciebie i Pat to zupełnie co innego - dodała. - Spójrz tylko na mnie. Wyglądam tragicznie. Na dodatek, to ja dostarczam pieczywo do tej restauracji. Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdyby ktokolwiek mnie rozpoznał. Byłam szalona, przystając na waszą propozycję. Ludzie nie zostawią na mnie suchej nitki, gdy dowiedzą się, kim jestem!

- Przesadzasz. A poza tym nie możesz się już wycofać. Obietnica do czegoś zobowiązuje. Nasuń welon na twarz i wychodzimy!

- Nie żartuję!' - jęknęła znowu Valentine.

- Lepiej będzie, jeśli pójdziesz sama. Skompromituję nas obie.

- Słuchaj, wujek płaci za dwie tancerki. - Zamilkła na chwilę i nim Valentine zdążyła zapytać o tajemniczego wujka, mówiła dalej:

- Podpisałyśmy kontrakt na dwie. Zgodziłam się! Obie potrzebujemy tej forsy. Przyszły pan młody chciał mieć tu cały harem, ale tylko my byłyśmy akurat wolne. Nie marudź więc i uśmiechaj się, bo wyglądasz, jakby ktoś przystawił ci lufę do głowy.

- Dokładnie tak się czuję.

Wiedziała, że Tricia ma rację, a poza tym dała słowo. Nie mogła więc zawieść.

Taniec brzucha! Cóż za idiotyczny pomysł. Nigdy nie miała poczucia rytmu. Należała do osób, które deptały zapamiętałe swoich biednych partnerów i kwitowały taneczne wyczyny dowcipami o dwóch lewych nogach.

Była przecież tylko piekarzem. Marzyła jedynie, by pójść w ślady dziadka i posiadać własny zakład.

Najmilej wspominała właśnie sklep dziadka. Jednak po ukończeniu szkoły postanowiła pracować w banku. Sądziła, że to ciekawsze i bardziej opłacalne zajęcie niż staż w piekarni. Stopniowo podnosiła swoje kwalifikacje i w końcu osiągnęła wymarzone stanowisko. Jednak praca nie przynosiła oczekiwanej satysfakcji; dziewczyna czuła się samotna w wielkim mieście. Skandal wywołany przez Brady'ego przyspieszył tylko decyzję przeprowadzki na prowincję.

- To trema przed pierwszym występem - pocieszała Tricia. - Kiedy wyjdiesz na scenę, od razu poczujesz się lepiej. Poza tym pamiętaj, że dałaś słowo.

- Niestety. - Spojrzała w lustro. Kremowe muszelki naszyte na różowy szyfon miały bardziej intensywny odcień niż jej skóra.

- Val, nie zachowuj się tak, jakbyś robiła coś złego! Po prostu tańcz!  
Valentine obróciła się, ukazując wszystkie świecidełka i egzotyczne ozdoby.

- Aha, jeszcze jedno. Pamiętaj, jeśli się pomylisz, improwizuj. Nikt nie zauważy! -

Tricia naciągnęła welon i zastygła w oczekiwaniu na muzykę.

Valentine zaczerpnęła powietrza. Myśl, że mają być głównym daniem na tym kawalerskim przyjęciu, wcale nie dodawała jej otuchy. Gdy po raz ostatni spojrzała w lustro, zauważyła w nim odbicie jakiegoś mężczyzny. Na szczęście miała zasłoniętą twarz! Nerwowym ruchem upewniła się, czy woal jest na swoim miejscu.

Nagle z głośników popłynęła egzotyczna, indyjska muzyka. Tricia ożywiła się i z gracją wyszła na scenę. Gwizdy i okrzyki wybuchły ze zdwojoną siłą. W tym momencie Val zdała sobie sprawę, jak powabnie porusza się Tricia. Próbując złapać rytm, ruszyła za nią. Starła się robić wszystko automatycznie.

Po chwili Tricia podeszła do mikrofonu.

- Dobry wieczór - powiedziała miłym, ciepłym głosem. - Mam na imię Farrah, a to jest Angelina.

Valentine spojrzała zdziwiona na koleżankę. Nie zdążyły przedyskutować tej sprawy, ale właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Angelina - całkiem dobre imię.

- Mam nadzieję, że ten wieczór dostarczy wam niezapomnianych wrażeń.

Aplauz na widowni wzmógł się. Dzikie gwizdy i wycie wypełniły salę. Valentine zebrała całą odwagę, by bez strachu spojrzeć na tłum mężczyzn. Mimo wspaniałej wentylacji, poczuła duszność. Wmówiła sobie, że wszystko jest w porządku i że nie zemdleje. Zdziwiła ją ogromna liczba przyjaciół narzeczonego. Było ich co najmniej czterdziestu.

Zatrzymała wzrok na właścicielu restauracji i zdała sobie sprawę, iż to jego syn jest gospodarzem przyjęcia. Nie przypuszczała, że to taka poważna sprawa. Popatrzyła na kolejnego mężczyznę siedzącego za stołem. Nie pasował do reszty. Twarz wydała jej się obca, ale przecież nie musiała znać wszystkich ludzi w tym niewielkim mieście, zwłaszcza że była tu dopiero od sześciu miesięcy.

Przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna miał jasne, kręcone włosy i ciemne oczy. Val poczuła na sobie badawcze spojrzenie i ich oczy spotkały się na moment.

Po chwili tajemniczy blondyn szepnął coś do ucha przyszłemu panu młodemu.

Raleigh Coseegan czuł się na tym kawalerskim przyjęciu jak relikwiarz lub dinozaur. Kilku młodzieniaszków było już, co prawda, zdrowo po dwudziestce i z pewnością miało własne rodziny, niemniej bawili się wyśmienicie.

Zazdrościł im tej swobody. Jego trzydzieści sześć lat nie pozwalało mu podniecać się amatorskim tańcem brzucha. Zbyt wiele przeżył, zbyt dużo widział, świat zaczynał go nudzić. Niecierpliwił się. Nie denerwowały go te dwie śliczne dziewczyny. Po prostu przypominał sobie, jak podczas podróży po Dalekim Wschodzie widział nie raz taniec brzucha, wykonywany przez kobiety, które ćwiczyły każdy ruch od wczesnego dzieciństwa; było to połączenie perfekcji ze sztuką.

Ale te dwie dziewczyny... Spojrzał na nie ponownie. Wyższa, pełniejsza, to ta, z którą rozmawiał w studio. Jej ruchy były niezwykle rytmiczne, ale ta niższa... Cóż, na pewno miała w sobie coś. Nie potrafił tego sprecyzować.

Jego siostrzeniec, Randolph, koniecznie chciał mieć w programie swego wieczoru kawalerskiego taniec brzucha; nie było dużego wyboru. Uśmiechnął się do chłopaka, po czym ponownie spojrzał na Angelinę. Wyglądała tak, jakby kostium za chwilę miał się z niej zsunąć, ale jej ruchy były fascynujące. „Ta dziewczyna ma talent”- pomyślał.

Z przerażeniem obserwując dzikie twarze mężczyzn, Valentine czuła, że pierwszy strach powoli mija. Przyjazny uśmiech blondyna dał jej poczucie bezpieczeństwa.

„Może uda mi się dotrzeć do końca tego występu - pomyślała. - Może”. Nie słyszała już nawet tego, co szeptała do niej Tricia. Nagle przestała się męczyć, po prostu tańczyła. Naśladując partnerkę, owijała różową wstęgę wokół ciała, balansując i pochylając się w rytm muzyki. Jej kostium drgał milionem różnobarwnych błysków. Wiedziała, iż falisty ruch wstęgi ma tworzyć iluzję harmonii i piękna. Czuła, że nie wychodzi jej to najlepiej; dojrzała jednak do końca i nawet była z siebie zadowolona.

Kończąc występ ze wstążką, przytrzymała jedną ręką kostium, obróciła się raz, drugi i trzeci, po czym dramatycznym ruchem rzuciła szarfę na ziemię. Niestety, nie był to zbyt szczęśliwy pomysł. Różowy jedwab niefortunnie wplątał się w kruczoczną perukę i gdy dziewczyna odrzuciła wstęgę, długie czarne loki przesunęły się na bok.

Błyskawicznie poprawiła fryzurę, starając się ukryć swoje piękne, jasne włosy, które w świetle reflektorów rozbłysły złotym blaskiem. Nie wyszło to jednak najlepiej i kilka kosmyków wystawało, zabawnie kontrastując z czernią peruki. Z trudem uśmiechnęła się. Wykorzystując moment przerwy między tańcami, poprawiła włosy i już gotowa, czekała na muzykę. Wydawało się jej, że ta dramatyczna, dla niej oczywiście, sytuacja rozśmieszyła widownię. Nie mogła jednak myśleć o tym w tej chwili. Musiała skupić się na tańcu.

Raleigh dostrzegł rozbawienie publiczności. Sam też nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Śliczne, złote włosy wystające spod czarnej peruki zachwyciły go. Zauważył również duże, niebieskie oczy. Imię Angelina świetnie pasowało do tej pięknej dziewczyny. Pod delikatnym jedwabiem krył się z pewnością cudowny, młody, złotowłosy anioł. Jaka szkoda, że nie mógł się o tym przekonać!



Przybył tu trzy dni temu na ślub swojego siostrzeńca. Dopiero po raz trzeci odwiedzał te strony. Po raz trzeci od siedmiu lat, czyli od czasu, gdy rodzina jego siostry sprowadziła się tutaj. Przypomniawszy sobie, że bardzo zdziwiła go wtedy decyzja Carolyn i Toda, którzy postanowili wyjechać z Kalifornii. Mieli zamiar otworzyć własną restaurację. Byli wykończeni wielkomiejskim tempem życia. Pomógł im nawet wybrać odpowiedni lokal. Zainwestował niemałą sumę pieniędzy. Nie został jednak u nich zbyt długo. Dusił się w małym mieście jak klaustrofobik w zamkniętym pokoju. Odwiedzał ich na święta Bożego Narodzenia, obładowany prezentami.

Bawił tu całe dwa dni. Niespokojny duch. Pamiętał, że gdy wracał do siebie, samochód był lżejszy o trzydzieści paczek. Zostawił ich zebranych przy kominku. Szczęśliwa rodzina. Miał w sercu ciepłe wspomnienia tamtych chwil. Wiedział jednak, że to nie dla niego. Był samotnikiem. Sam przeżywał kolejne wyprawy, niebezpieczeństwa i zmiany.

Westchnął głęboko. To dziwne, ale dopiero teraz odkrył to, o czym zawsze mówił szwagier: spokój i wyczuwalną więź łączącą ludzi w niewielkim mieście. Wąskie uliczki ocienione wiekowymi drzewami różniły się bardzo od kalifornijskich, spalonych słońcem przestrzeni. Ludzie w Wirginii lubili chodzić na wieczorne spacerunki. Siedząc na ławkach przed domami, z przyjemnością opowiadali o swych ogródkach, o swych radościach i troskach. Takie miejsce wydawało mu się oazą. Wróciło wspomnienie czasów, kiedy zapach ulubionych kwiatów pozwalał zapomnieć o świecie. Chciał, aby czas zatrzymał się na chwilę.

Jako zagraniczny korespondent najczęściej spotykał się z tragediami, terroryzmem. Pisząc wciąż o nieszczęściach, zgorzkniał i zamknął się w sobie. A może był to efekt lat spędzonych w trudnych warunkach... Zauważył, że największą przyjemność sprawia mu teraz opisywanie swoich podróży. Myślał nawet o napisaniu jakiejś książki.

Zakołysał kieliszkiem. Gdy został wciągnięty w sprawę małżeństwa swojego siostrzeńca, zrozumiał, jak bardzo czuje się związany z Carolyn, Todem i ich dziećmi: Tiną i Randolphem. Czuł, iż mimo wszystko jest komuś potrzebny. Przypomniało mu się ostatnie Boże Narodzenie. Wspomnienie wspaniałej, rodzinnej atmosfery w domu siostry poruszyło go do głębi. Dopiero wtedy uświadomił sobie, jak bardzo jest samotny.

- Wujku Raleigh?

- Tak? - Odwrócił się do siostrzeńca.

- Ta czarna chyba niedokładnie ufarbowała sobie dzisiaj włosy?!

Raleigh spojrzął na scenę akurat w momencie, gdy Angelina, robiąc szybki obrót, nadepnęła na swój strój. Pas skrywający biodra zsunął się niebezpiecznie nisko; dziewczyna z trudem utrzymywała równowagę. Tańczyła jednak dalej. Tricia, która chciała pomóc jej z pomocą, spowodowała tylko większe zamieszanie, gdyż Val nie zauważyła jej i odwracając się gwałtownie, wpadła na koleżankę. Doświadczenie Tricii pozwoliło im jednak wybrnąć z kłopotów.

Z trudem powstrzymywał śmiech. Nie było to łatwe, ponieważ śmiali się już niemal wszyscy. Taniec Angeliny nadawał się wyśmienicie do rozbawienia publiczności. Ale przecież on nie zatrudnił duetu komediowego. Przypomniał sobie w tym momencie, że obie kobiety, z którymi rozmawiał, były równego wzrostu i prezentowały podobne atrybuty kobiecości. Coś tu jest nie tak...

- Czy widziałeś kiedykolwiek takie wariactwo?! - zawołał Tod, przekrzykując wzrastający gwar. - Ta Angelina jest całkiem niezła! Nie wiedziałem, że to studio taneczne oferuje również komedie. Może zaangażuję ten duet na weekend zamiast big-bandu? Nigdy o tym nie myślałem, bo to małe, konserwatywne miasteczko, ale podejrzewam, że taki występ podobałby się mężczyznom jak i kobietom.

Valentine z trudem broniła się przed następną wpadką i mimo kolejnych potknięć, starała się wciąż tańczyć. Niestety, pas był już tak nisko, że

uniemożliwiały jej ruchy. Nie miała innego wyjścia; musiała go poprawić. Spojrzała z rozpaczą na Tricię, która widząc, co się dzieje, z trudem powstrzymywała śmiech i zrećźnie zasłoniła partnerkę. Gdyby Valentine mogła zapaść się w tej chwili pod ziemię, byłaby szczęśliwa.

Nagle mężczyźni zaczęli uderzać w stoły, krzycząc: „Jeszcze! Jeszcze!”, jakby myśleli, że Angelina zaplanowała wszystkie te zabawne, podniecające triki. Gdy zauważyła, że nawet sympatyczny, przystojny blondyn śmieje się z niej, miała już wszystkiego dość.

Rzeczywiście, Raleigh nie mógł powstrzymać śmiechu. Już od dawna nie bawił się tak dobrze. Potrzebował tego. Angelina była wspaniała, a jej perfekcyjne, komediowe zagrania - niezwykle naturalne. Podziwiał jej zdolność rozbawiania publiczności.

„Kim ona jest?” - zastanawiał się.

Nim Valentine zdążyła odwrócić się i skierować w stronę kulis, Tricia chwyciła ją pod ramię i razem podeszły do mikrofonu.

- To tylko fragment naszego programu - powiedziała i uśmiechnęła się tajemniczo. - Proszę nie odchodzić, ponieważ po krótkiej przerwie zjawimy się tu znowu.

Przy akompaniamencie muzyki zeszły ze sceny. Val była szczęśliwa, że nie musi już tańczyć.

## ***ROZDZIAŁ II***

- Dziewczyno, byłaś wspaniała! Nawet nie wiesz, jaka wspaniała! - krzyczała Tricia. - Pokochali cię. Nie wiem, w jaki sposób udało ci się popełnić tyle błędów w jednym prostym tańcu, ale słyszałaś te okrzyki i oklaski!

- Nie mam pojęcia, co się ze mną stało. Staralam się robić wszystko tak, jak ćwiczyłyśmy. Robiłam, co mogłam...

- Wyszło świetnie, cokolwiek to było. Kiedy znowu wyjdziemy na scenę, zachowuj się dokładnie tak samo.

Valentine przeraziła się.

- Nie mówisz serio! Nawet gdybyś mi dawała milion dolarów, nie wyszłabym tam jeszcze raz! Nigdy nie przeżyłam takiego upokorzenia!

„Prawie nigdy” - dodała w myślach. Tym razem nikt nie oskarżał jej o kradzież. Niemniej udawanie idiotki nie było przyjemne, tym bardziej że chciała zachować dobre imię w tym mieście.

- Pragnęłam zapaść się pod ziemię. Taki wstyd! - dodała, spuszczać oczy. - A poza tym ten kostium jest na mnie za duży. Myślałam, że zsunie się zupełnie.

- Nie narzekaj. Wszyscy są pewni, iż każdy twój ruch był dobrze wyćwiczony i zaplanowany. Nikt nie zauważył, że improwizujesz. Naprawdę wyglądałaś zabawnie. Gdybyś tylko mogła siebie zobaczyć. Niewiele brakowało, a i ja wybuchnęłabym śmiechem.

Nie byłyśmy tam po to, żeby odgrywać komedię - przypomniała Valentine.

- Nic nie szkodzi. Miałyśmy wykonać taniec brzucha, by rozbawić publiczność. Nie uzgadniałyśmy, w jakiej formie to zrobimy.

- Nie wierzę własnym uszom. Ja mało nie umarłam ze wstydu, a ty próbujesz wszystko obrócić w żart.

- Uspokój się. To przypadek spowodował zmianę charakteru naszego występu. Mam nadzieję, że uda się nam to wykorzystać.

- Tricio, jestem piekarzem i tylko na dzisiejszą noc zgodziłam się przemienić w tancerkę. Nie rób z tego występu wydarzenia roku. Nigdy bym nie zatańczyła, gdyby nie szło o moje życie.

- Zobaczymy. Tego, co już się stało, nie zmienimy, czemu więc nie wykorzystać sytuacji? Mogłybyśmy pójść za ciosem. Na pewno nikt się nie domyślił, że nie planowałyśmy tej całej komedii. Przed nami jeszcze pół godziny pracy. Powiedz, co jest lepsze: być dowcipem wieczoru, czy rozweselać innych dowcipami?

Valentine westchnęła.

Oczywiście, że wołała bawić publiczność, ale nie chciała ponownie pojawić się na scenie. Poza tym nie była pewna, czy potrafi tańczyć jeszcze pół godziny.

- Wystarczy mi upokorzeń na resztę życia - powiedziała. - Wyjdiesz sama. Ci faceci nie zasłużyli sobie na dwie tancerki. Pamiętasz, co mówiłaś mi o artyzmie i pięknie profesjonalnego tańca? Pokaż, co potrafisz. Ja zostaję.

Tricia zamyśliła się.

- Być może masz rację - powiedziała w końcu. - Po prostu porwała mnie ich reakcja. A poza tym wcale nie obiecałyśmy im dwóch tancerek przez cały wieczór. No tak, ale przecież powiedziałam, że po przerwie zjawimy się znowu.

- Zamyśliła się ponownie.

- Już wiem, możesz tańczyć z grzechotkami.

- Nie mogę! Nie dość, że spadałby ze mnie kostium, to jeszcze nie potrafiłabym złapać właściwego rytmu. Byłaby to kolejna wpadka.

- Taką też mam nadzieję - uśmiechnęła się Tricia.

- Jestem pewna, że śmiechu będzie co niemiara.

- Więc zrobisz to? Jeszcze tylko jeden taniec!

- Prędzej wejdę do jaskini lwa.

- Kto wie, czy nie będziesz musiała tego zrobić. Wujkowi, który nas zaangażował, może nie spodobać się ta zmiana. Daj spokój! Tylko jeden taniec.

- Jeszcze raz mam odegrać tę komedię?! - westchnęła Valentine.

- Przeżyjesz to. A kto wie, może jeszcze kiedyś będziesz się z tego śmiała! Przecież to nie takie straszne.

„Z pewnością Tricia nie doznała takiego upokorzenia” - pomyślała Valentine. Nim zdążyła odpowiedzieć, tamta dokończyła:

- Przyjdę po ciebie, gdy będzie twoja kolej.

Raleigh obserwował Farrah. Z pewnością taniec brzucha wychodził jej lepiej niż Angelinie, ale to właśnie na tę drugą czekał przede wszystkim. Chciał wiedzieć, kto kryje się pod tym imieniem, a nieobecność dziewczyny na scenie podsycala tylko jego ciekawość.

- Wybacz, że cię opuszczę, ale muszę zobaczyć, jak bawią się inni goście - powiedział Tod, przerywając rozmyślenia Raleigha. - Wrócę za kilka minut.

Wstał razem ze szwagrem i pomyślał, że może skorzystać z okazji i porozmawiać z blondynką, nim ta pojawi się ponownie na scenie.

- Przepraszam - powiedział do Randolpha i siedzących wokół stołu mężczyzn. Uśmiechnął się do siebie, widząc, że byli zbyt zajęci występem Farrah, by zauważyć jego zniknięcie.

Dosyć dobrze znał budynek. Kiedyś mieścił się tu nocny klub. Tod wygłuszył i podzielił pomieszczenia za sceną, i wynajmował je na specjalne okazje, na przykład - prywatne spotkania.

Zszedł holem na dół i zapukał dwukrotnie do garderoby. Zza drzwi dobiegała tylko wschodnia muzyka.

Valentine opierała właśnie nogę na krześle, naciągając nylonowe rajstopy. Pukanie przestraszyło ją. Kto i po co zjawił się tutaj? Nie chciała widzieć się z kimkolwiek. Miała przecież tylko zatańczyć jeszcze raz i pójść spokojnie do domu. Nikt nie mógł dowiedzieć się, kim była naprawdę.

Raleigh zapukał jeszcze raz. Gdy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, otworzył drzwi i zawołał:

- Hallo, jest tam kto?

Serce Valentine zabiło mocniej. Zamknęła oczy. Pragnęła tylko jednego: aby ten nieproszony gość, kimkolwiek był, wyniósł się stąd natychmiast. Jeszcze chwila i...

Raleigh otworzył szerzej drzwi. Był zaskoczony, kiedy zobaczył Angelinę w takiej dziwnej pozycji.

- Przepraszam - powiedział.

Dziewczyna szeroko otworzyła niebieskie oczy.

„To ten sam facet, który tak się we mnie wpatrywał” - pomyślała.

- Ja... cóż, nikt nie odpowiadał - dodał po chwili.

Czuła, że spojrzenie mężczyzny osłabia ją. Och, dlaczego to właśnie on się tu zjawil?!

- Nikt nie powiedział, że można wejść - powiedziała nerwowo.

- Brakowało mi pani na scenie. Chciałem panią zobaczyć. - Uśmiechnął się.

- Nie ma pan prawa tu przebywać. Proszę wyjść!

Był zdziwiony jej zachowaniem. Nie widział specjalnego powodu do takiego zdenerwowania.

- Chciałem tylko dowiedzieć się, kim pani jest.

- To nie pański interes!

„Jeszcze tylko brakowało, żebyś dowiedział się, kim jestem” - pomyślała i dodała:

- A teraz proszę opuścić to miejsce, zanim zacznę krzyczeć.

Te słowa zastanowiły Raleigha. Uśmiechnął się. Coś tu nie gra. Czemu ta piękność jest tak wrogo do niego nastawiona? Nawet jeśli nie podobała się jej obecność obcego mężczyzny w garderobie, to i tak reakcja była zbyt gwałtowna. Nagle obudził się w nim duch reportera. Czuł, że musi zadać jej kilka pytań.

- Niech się pani uspokoi. Myślę, iż to także i mój interes. Nazywam się Raleigh Coseegan i to ja płacę za występ pań.

Spojrzała nerwowo na drzwi. Więc to był ten wujek, o którym mówiła Tricia. Teraz domyśliła się, dlaczego musiała zasłonić twarz.

- Po prostu chciałbym wiedzieć, kim pani jest - powtórzył. Nie mógł zrozumieć jej zdenerwowania. - Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jakie ma pani doświadczenie jako tancerka?

Spuściła głowę. Nie potrafiła skłamać. Zresztą, on pewnie zauważył brak profesjonalizmu.

- Czy mogłaby mi pani odpowiedzieć? - napierał. Wcale nie miał zamiaru jej urazić.

Wiedziała, że to się tak skończy. Ostrzegała Tricię. I co teraz? Miała kłamać? Przecież on i tak domyśla się wszystkiego. Ich spojrzenia spotkały się. W tym momencie zdecydowała, że wyjaśni całą sprawę.

Nagle do garderoby wbiegła Tricia. Jeszcze nigdy pojawienie się drugiej osoby nie ucieszyło tak bardzo Valentine. Odsunęła się od Raleigha.

- Chodźmy - powiedziała Tricia. - Czas na końcowy numer.

Gdy zauważyła mężczyznę, zamarła. Po chwili napięcia i niepewności posłała mu szeroki, profesjonalny uśmiech i powiedziała:

- Mam nadzieję, że podoba się panu nasz występ. - Chwyciła tamburyno. - Proszę nam wybaczyć, ale musimy biec na scenę. - Wcisnęła instrument w rękę koleżanki i wyciągnęła dziewczynę z pokoju.

Z mieszanymi uczuciami Valentine pobiegła za Tricią. Nie miała ochoty wychodzić na scenę, nie chciała też oszukiwać tego mężczyzny. Gdy stanęła za aksamitną kurtyną, jej serce waliło jak młot. Czekwała na dalsze wydarzenia.

Raleigh spokojnie obserwował oddalającą się kobiety. Co za sekret ukrywały? Bawiła go naiwność dziewcząt. Nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnują z obranej drogi; ta cecha nie raz pomogła mu w pracy. Obdarzony anielską cierpliwością, z nosem starego tropiciela i stalowymi nerwami, nie



ugiął się jeszcze nigdy. Nie potrzebował zbyt wiele czasu, aby przekonać się o amatorstwie obu tancerek. Obie panie, choć próbowały, nie wyprowadziły go z równowagi, ponieważ sytuacja wydawała mu się niezwykle zabawna. Musiał wyjaśnić tę historię!

Podszedł do bocznej kurtyny, rozchylił ją delikatnie i obserwował scenę. Miał wrażenie, że złotowłosa wygląda jeszcze piękniej niż poprzednim razem. Zaśmiał się głośno, gdy zauważył, że Angelina nie może wyczuć rytmu.

Valentine usłyszała śmiech i obróciła się w jego stronę. Była wściekła. W głębi duszy wiedziała, że niesłusznie. Miała przecież rozśmieszać publiczność. Tego, co robiła, nie można było nazwać tańcem. Rozejrzała się. Wiedziała, że najbardziej drażni ją i rozprasza ten atrakcyjny mężczyzna. Nie mogła znieść myśli, iż bawi się jej kosztem.

„Uspokój się, Valentine. Skup się na tym, co robisz. Nie pozwól, by Raleigh Coseegan wyczuł twój nastrój”- pomyślała.

Czyżby tak szybko zapomniała o krzywdzie, którą wyrządził jej Brady? Nie miała przecież zamiaru angażować się w nowy związek.

Występ zakończył się. Śmiech i okrzyki wybuchły w tym momencie ze zdwojoną siłą. Tricia chwyciła Valentine za rękę i razem podbiegły do mikrofonu. Przekrzykując tłum, powiedziała:

- To była dla nas wielka przyjemność. Mam nadzieję, że spędzili panowie miły wieczór. Jeśli ktokolwiek chce nam złożyć podobną propozycję, zapraszamy do naszego studia.

Młodzież krzyczała i gwizdała z zapałem. Ku zadowoleniu Tricii i konsternacji Valentine, niektórzy na stojąco wyrażali swój podziw. Val jeszcze tylko chwilę wytrzymała na scenie, po czym znikła błyskawicznie w swojej garderobie. Tricia natknęła się na Raleigha.

- Farrah, muszę z tobą porozmawiać - powiedział.

- Za pięć minut, dobrze, szefie? Zgodził się. Nie było pośpiechu. Czuł, że może poczekać na Angelinę.

- Och! - westchnęła Tricia, otwierając drzwi garderoby.

Valentine spojrzała na nią nerwowo.

- Raleigh Coseegan chce ze mną rozmawiać.

- Raleigh Coseegan?! - zapytała niewinnie.

- No wiesz, ten wujek, o którym ci mówiłam.

- Ach, ten! - Głos Valentine drżał z podniecenia. Więc to rzeczywiście Coseegan wynajął je na dzisiejszy występ.

- Występ podobał się bardzo, mam więc nadzieję, że nie odmówi zapłaty.

- Bez obaw. Śmiał się zbyt głośno, by być niezadowolonym z naszego występu. Wie, że nie stracił swoich pieniędzy.

Chciała zapomnieć jego głębokie spojrzenie, pragnęła, by w jej pamięci pozostał tylko ten śmiech zza kulis.

- Mam nadzieję. Najlepiej będzie, jak już znikniesz. Pogadam z nim sama.

- Dobry pomysł. - Narzuciła płaszcz. Przez cały wieczór nie usłyszała nic przyjemniejszego. Nie trzeba jej było powtarzać tego dwa razy. Jeśli będzie miała szczęście, nigdy więcej nie spotka Raleigha Coseegana.

- No to znikam - szepnęła. - Do zobaczenia.

Gdy otworzyła drzwi, zamarła.

Oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach stał Raleigh; czekał cierpliwie. Wyglądał niezwykle elegancko. W tej samej chwili przypomniała sobie, jak mocno zabiło jej serce, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Teraz wiedziała, że nie był to tylko strach. To coś więcej. Coś, o czym nie chciała nawet myśleć. Szybko zamknęła drzwi.

- No to wpadłyśmy - jęknęła. - Wujek stoi za drzwiami. Co teraz zrobimy?

- Raleigh Coseegan stoi za drzwiami? Żartujesz!

- Ja...

Nagle obie zamilkły. Usłyszały czyjeś kroki. Valentine wyjrzała ostrożnie na korytarz.

- Raleigh, zastanawiałem się, gdzie jesteś - usłyszały głos Toda. -

Szukałem cię.

- Czekam na tancerki.

- Ja również przyszedłem do nich. Chcę zaproponować im weekendowe występy.

Valentine szybko zamknęła drzwi, przeczuwając, że nocny koszmar wcale się jeszcze nie skończył.

- Och! - westchnęła. - Dlaczego ja? Jak to się mogło stać?

- Co takiego?

- To właściciel restauracji. Chce nas zatrudnić na weekendy.

- To wspaniale! - Tricia podskoczyła i klasnęła w dłonie.

- Raczej straszne. Chciałabym umrzeć tu, w tej chwili. - Łzy przerażenia pojawiły się w jej niebieskich oczach.

- Nie rozumiem cię, złotko. - Objęła Valentine. - W czym problem?

Czemu tak się martwisz? Przecież potrzebujesz pieniędzy. To tylko kilka godzin w tygodniu. Więc?

- Więc? - powtórzyła z irytacją Val. - Więc powiem ci wszystko.

Przeniosłam się do tego małego miasteczka, bo chciałam uniknąć skandalu. W Bostonie oskarżono mnie o defraudację bankowych pieniędzy. Nie miałam z tym nic wspólnego. Uwierz mi. Byłam po prostu głupia. Facet, na którym bardzo mi zależało, wykorzystał mnie. Obiecałam sobie wtedy, że nie pozwolę, aby ktokolwiek zarzucił na mnie takie sidła ponownie.

- Och, Val, mogłaś o tym powiedzieć wcześniej!

Próbowała uśmiechnąć się przez łzy. Myślała, że przeszłość ma już za sobą, że najgorsze minęło. Rzuciła się w wir pracy z nadzieją, iż zapomni o wszystkim, a zwłaszcza o ludziach z Bostonu, którzy okazali się tak nieżyczliwi. Mimo przeprowadzonego śledztwa uważali, że jest winna. Twierdzili, że nie ma dymu bez ognia.

- Nie sądziłam, że opowiem tę historię komukolwiek - zaszlochła. - Nie zniosę, jeśli znowu zaczną wytykać mnie palcami.

Tricia przytuliła Val.

- Nikt nie będzie tego robił. Och, złotko, gdybyś od razu mi to powiedziała, zrozumiałabym! Nie chcę zadawać ci bólu. Ale byłaś wspaniała! - Uścisnęła jej dłonie. - Nie, nie proszę cię, żebyś zrobiła to jeszcze raz. Rozumiem. Nie żałuj jednak tego wieczoru. Nikt cię nie rozpoznał, a byłaś naprawdę niesamowita.

- Może dla ciebie... Ja przede wszystkim cieszę się, że mam to już za sobą.

- Niezupełnie. - Tricia zmarszczyła brwi.

- Przecież musisz się jeszcze stąd wydostać. - Uchyliła drzwi.

Raleigh wciąż stał tam z Todem. Wyraźnie słyszały, o czym rozmawiali.

- Nie wiedziałem, że wynająłem do tej roboty takie śmieszki!

Valentine szybko zamknęła drzwi. Nie mogła tego słuchać.

- Co wiesz na temat tego faceta? - spytała przyjaciółkę.

- Którego?

- Raleigha Coseegana.

- Pracuje jako zagraniczny korespondent. Jest bogaty, zatem płaci nam całkiem nieźle. Przyjechał tu tylko na kilka tygodni, na ślub swojego siostrzeńca...

- ...i pośmiać się trochę! - dokończyła Valentine.

Dlaczego akurat ten mężczyzna spodobał się jej od pierwszej chwili? Gdy trafiła do tego miasta, nawet nie spojrzała na żadnego. Myślała, że to skutek lekcji udzielonej przez Brady'ego. Ale ten nieznajomy... Jedno było pewne - nie mogła wybaczyć mu tego śmiechu. Bawił się na pewno znakomicie.

Przypuszczała, iż to tylko na niej spotkanie wywarło tak ogromne wrażenie.

Nagle ktoś zapukał. Obie podskoczyły równocześnie. Ku zdziwieniu Tricii Valentine szeroko otworzyła drzwi.

- Tak?

- Gotowa do rozmowy?

- Tak. - Tricia uprzedziła koleżankę. Nie mogła powiedzieć nic innego.

- Przepraszam, ale stanął pan w przejściu. - Val czuła, że dłużej nie wytrzyma obecności Raleigha.

- Czy mogłaby pani poczekać jeszcze chwilę? - Dotknął jej ramienia.

Czuła ciepło jego dłoni. Przeszył ją dreszcz podniecenia. Przecież nie może tak reagować! Czas z tym skończyć.

- Nie do mnie należy dyskusja o interesach. Proszę mnie przepuścić.

Uśmiechnął się i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Myślałem, że pani...

Dlaczego serce biło jej tak mocno? Dlaczego zgodziła się na występ? Chciała jak najszybciej uciec od tego mężczyzny.

- Przykro mi - powiedziała, nie patrząc na niego. - Muszę wstać bardzo wcześnie.

- Więc może obiad, jutro po południu? - zapytał bez chwili zastanowienia.

Zaprzeciżyła ruchem głowy. „Co za uparciuch”- pomyślała i dodała:

- Każdego dnia wstaję bardzo wcześnie.

- Nie jesteś tą kobietą, którą wynająłem. Prawda?

Serce Val zaczęło bić szybciej. To już koniec.

- Rzeczywiście - wtrąciła Tricia, posyłając mu swój najpiękniejszy uśmiech. - Pat zachorowała, a Angelina zgodziła się ją zastąpić.

- Cóż, choroba Pat dała niespodziewane rezultaty. Tańczyłyście wspaniale. Mówiąc szczerze, już dawno nie oglądałem czegoś równie zabawnego.

Valentine wykrzywiła twarz w uśmiechu. Ciekawa była, jak zareagowałby, gdyby dowiedział się, jak strasznie przeżyła cały ten cholerny taniec i jak bardzo zależało jej, by wypadł dobrze.

- Miło nam to słyszeć - powiedziała chłodno. - Miałymy przecież rozbawić publiczność.

- Rozbawić? To była fantastyczna komedia. Uśmiełem się tak, że aż rozboleł mnie brzuch.

Spojrzała na niego badawczo. Nie wyglądał na człowieka, którego mógł rozboleć brzuch ze śmiechu. Już dawno nie widziała takiego przystojnego mężczyzny.

- Kim pani jest?

- Studia taneczne TP; Tricia Haldran i Patricia Shamus - wtrąciła szybko Tricia.

- To wiem, ale ja pytam o panią.

Znowu ich spojrzenia spotkały się. Nie mogła patrzeć mu w oczy. Miał taki niesamowity, hipnotyzujący wzrok. Pewna była, że ten człowiek zawsze, prędzej czy później, osiąga wyznaczony cel. Miała nadzieję, że tym razem będzie to później, znacznie później.

- To bez znaczenia - powiedziała.

- Nie dla mnie. Mój brat, Tod Duncan, chciał, żebym zapytał, czy nie chciałyby panie tańczyć tutaj w piątkowe i sobotnie wieczory?

Val spuściła oczy. Ten mężczyzna roztaczał wokół siebie taką niezwykłą atmosferę. Jej zmysły szalały. Och, dlaczego musiała zachowywać się w ten sposób? Pragnęła czuć do niego tylko złość.

- Pan wybaczy, ale jestem zawsze zajęta, nieuchwytna!

- Nieuchwytna? Przecież pani tańczy. Czyż nie? - Zmarszczył brwi.

- Oczywiście - odpowiedziała szybko Tricia.

- Więc kiedy będzie pani wolna? „Cholera, co za facet? - pomyślała. – Ale czego można się było po nim spodziewać?”

- Nigdy - powiedziała stanowczo. - Dziś tańczyłam po raz ostatni.

- Zastanawiam się, skąd ta nagła decyzja?

Spojrzała zrozpaczonym wzrokiem na przyjaciółkę. Czy on uparł się, żeby rozwikłać tę zagadkę?

Tricia włączyła się do rozmowy ze swym najpiękniejszym uśmiechem na ustach.

- Jak już tłumaczyłam, Va... Angelina zastępuje tylko moją partnerkę, panie Coseegan.

Powiedziała mi przed chwilą, że dzisiaj wystąpiła po raz ostatni, więc nie ma o czym mówić. A poza tym byłoby to nie fair w stosunku do Pat.

- Tod jest przekonany, że zwykły taniec brzucha nie ściągnąłby tu wielkich tłumów. Sądzi, iż kobiety w tym mieście są jeszcze zbyt konserwatywne. Ale taki występ jak wasz rozbawi każdego.

- Powiedziałam panu: albo ja i Pat, albo nikt.

Raleigh był dobrym obserwatorem i zdawał sobie sprawę, że Valentine nie ustąpi. Musiał jednak dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Tajemnica coraz bardziej go intrygowała.

- Więc nie powie mi pani, kim jest? - zapytał ponownie.

- Nie. Byłabym wdzięczna, gdyby zostawił mnie pan w spokoju. Chyba rozumie pan słowo „nie”, prawda?

Czuł, że zaczyna się pocić. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie opierała mu się tak długo. Oczywiście, rozumiał, co znaczy „nie” i jeśli nie miał wyjścia, akceptował to. Nigdy nie używał przemocy w stosunku do kobiet. Wiedział jednak, że one coś przed nim ukrywają.

- Tak - odpowiedział spokojnie. - Mam wyższe wykształcenie i rozumiem, co znaczy „nie”. - Spojrzał na obie panie. - Nie jestem głupcem. Szkoda, że niczego się nie dowiedziałem, a przecież to ja wam płacę. Niemniej występ był lepszy, niż się spodziewałem. Nie wyrzuciłem więc pieniędzy na darmo. Dobranoc paniom!

Obrócił się i wyszedł z pokoju. Dopiero trzaśnięcie drzwi uświadomiło im, że był bardzo zdenerwowany.

Będąc już na górze Raleigh zamruczał pod nosem:

- Czasem wygrywasz, czasem przegrywasz. Zawsze tak jest. - Jednak nie lubił przegrywać. Zaczął szukać Toda, żeby powiedzieć mu o odrzuconej propozycji.

- Co za uparciuch - westchnęła Val. - Cieszę się, że już po wszystkim.

- Nie byłabym taka pewna. On naprawdę chciał się dowiedzieć, kim jesteś.

- Ma już swoje lata i mógłby panować nad swoimi zachciankami - powiedziała ostro. W głębi duszy żałowała, że nie spotkała go w innej sytuacji. - Na szczęście nie będzie tu zbyt długo - pomyślała na głos.

- Nigdy nie wiadomo.

- Powiedziałaś, że przyjechał tu tylko na ślub swojego siostrzeńca.

- Tak, ale przecież nie znam dokładnie jego planów. Wesele już niedługo. Słyszałam, że ma to być niezwykle wydarzenie. Ty zresztą wiesz więcej na ten temat, przecież pieczesz tort weselny.

- Och! W tym zamieszaniu o wszystkim na śmierć zapomniałam.

Oczywiście, że piekę tort. Prawdę powiedziawszy, dostarczam całą żywność na przyjęcie.

Ten taniec brzucha mógł jej bardzo zaszkodzić. Przecież przygotowując przyjęcie, nie raz zetknie się jeszcze z Raleighem Coseeganem. Dlaczego przyszedł do ich garderoby?

- Obawiam się, że nie unikniesz spotkania z nim - powiedziała Tricia, jakby odgadując jej myśli. - Człowiek taki jak on nie daje łatwo za wygraną, możesz być pewna.

- Straszne! Pieniądze za występ były mi bardzo potrzebne, ale to przyjęcie weselne jest moim pierwszym dużym zamówieniem w tym mieście.

- Co zamierzasz zrobić? Valentine zagryzła wargi.

- Wracam do swojej roboty! Na szczęście nikt mnie nie rozpoznał. -

Spojrzała na przyjaciółkę. - Więc jeśli ty nic nie powiesz, nikt się nie dowie.



- Słowo honoru, że nikomu nie powiem. Pat też będzie milczeć. Pogadam z nią.

Po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnęła się naprawdę.

- Myślę, że wszystko dobrze się skończy. Dobranoc, Tricio.

Otworzyła drzwi i przez nikogo nie zauważona, wymknęła się tylnym wyjściem. Chciała zapomnieć teraz o wszystkim i skupić się na pracy w swojej piekarni.

### ***ROZDZIAŁ III***

Po zamknięciu restauracji Raleigh, Carolyn i Tod usiedli przy jednym ze stolików i popijali colę. Cała rodzina pracowała dziś ciężko. Duncanowie nareszcie mieli chwilę wytchnienia.

- Raleigh - zaczął Tod - czy Farrah i Angelina zgodziły się na występy?

- Nie.

- To niemożliwe. Co im takiego powiedziałeś? Może byłeś nietaktowny. Twojej siostrze też czasem się to zdarza.

- Tod! - Carolyn spojrzała z oburzeniem najpierw na męża, a później na brata.

- Nie „toduj mi tutaj! - zażartował. - Wiesz, że to prawda. - Spojrzał na Raleigha. - Kiedy się tu sprowadziliśmy, kilka wysoko postawionych kobiet odkryło, że wasza rodzina walczyła po stronie Unii w wojnie domowej i że Carolyn nie w każdą niedzielę chodzi do kościoła. Nie miała wtedy żadnych przyjaciółek.

- Żartujesz, prawda?

- Nie, nie żartuję. Do dzisiaj niektórzy obywatele trzymają się z dala od naszej restauracji.

Raleigh spojrzał pytająco na siostrę.

- On żartuje, prawda?

- Mówię szczerą prawdę. Nie znasz tego miejsca. Podróżujesz zbyt wiele po świecie. Wirginia dla większości tutejszych ludzi to cały świat. Boisz się powiedzieć cokolwiek o kimkolwiek, bo może to usłyszeć jego brat, siostra, kuzyn lub wujek.

Raleigh roześmiał się.

- Nabieracie mnie - powtórzył z uporem.

- Nie ma w tym wiele przesady. Niektóre miejscowe rody pochodzą z siedemnastego stulecia. Dla nich dziedzictwo i więzy krwi to sprawa honoru. Tworzą klany nie akceptujące zmian; wybaczą bardzo powoli.

Raleigha zainteresowało to zjawisko, zwłaszcza że pozwalało na chwilę oderwać myśli od Angeliny. Do tej pory nie mógł o niej zapomnieć.

- Nie wierzę w to - powtórzył, chociaż podróżując po świecie, nie raz spotkał się z podobnymi sytuacjami.

- Uwierz, stary. Twój problem polega na tym, że urodziłeś się i wychowałeś w Kalifornii, a tu jest Wirginia.

- Więc czemu przeprowadziliście się tutaj?

- A, to druga strona medalu. Pokochaliśmy to miejsce i ludzi. Gdy już cię zaakceptują, zawsze są po twojej stronie, zawsze pomagają. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby nie ich ofiarna pomoc dwa lata temu. Zalało nas zupełnie.

- Dalibyście sobie jakoś radę. Przysłałbym wam pieniądze...

- I tak zrobiłeś dla nas dużo - wtrąciła Carolyn. - Gdyby nie ty, nie kupilibyśmy tej restauracji.

- Z przyjemnością wam pomagam.

- Jesteś dobrym bratem, Raleigh.

- Nie wiem jak wy, ale ja jestem skonany. - Poglądził siostrę po policzku.

- Chyba pójde przespać się trochę. Po weselu będę prawdopodobnie potrzebował miesiąca wakacji. Powiedz mi jeszcze tylko, co robi rodzina panny młodej?

Roześmiała się.

- Jej rodzinka jest we Włoszech. Ja... - Spojrzała na Toda. - My organizujemy przyjęcie. My również za nie płacimy. Na szczęście to wiosna i będzie można rozstawić namioty w parku.

- Chyba jesteś trochę złośliwa, siostrzyczko.

- Och, przestańcie mi dokuczać! Robię postępy. W ostatnim tygodniu pan Teedell został naszym sponsorem. Jeszcze tylko dwóch takich jak on i wszystko będzie gotowe. Zaprośmy dużo ludzi z miasta, ponieważ oni bardzo pomagają naszej restauracji. Nie muszę ci chyba przypominać, Raleigh, że niewiele brakowało, a zrezygnowalibyśmy z tego miejsca. W końcu lody zostały przełamane i zaczęło się nam całkiem nieźle powodzić.

- Wiem o tym, ale opowiedz jeszcze o rodzinie panny młodej. Nie wspominałaś o niej zbyt często.

- Cóż - westchnęła. - Mimmi ma dziewięć rodzeństwa. I prawdę powiedziawszy, to ona wysyła pieniądze do domu, a nie na odwrót. Ona i Randolph płacą za przyjazd rodziców na ślub. - Wzruszyła ramionami. - Co mogę powiedzieć? Jeśli nie wyprawilibyśmy wesela, byłaby po prostu skromna uroczystość. Ona jest wspaniałą dziewczyną, dobrym pracownikiem. Wszyscy staramy się dać to, co mamy najlepszego.

- Mówisz jak prawdziwa matka. - Raleigh zaśmiał się i dodał: - Wujek również chce się do tego przyłączyć. Chyba pozwolicie?

- Powiedziałem ci, że i tak zrobiłeś już bardzo dużo.

- OK. A teraz chcę być pewny, że będzie to ślub roku, a może i dziesięciolecia! Kto dostarcza żywność? Restauracja?

- Nie, mam tyle roboty, że nie wiem, czy dam sobie radę. Poza tym zaopatrywanie naszego wesela byłoby w złym guście. Wynajęłam najlepszego, jedyne, zaopatrzeniowca w mieście, Valentine Smith. Wszystko spoczywa w jej rękach.

Raleigh słuchał uważnie.

- Z pewnością to rozsądne rozwiązanie, więc w czym tkwi problem?

- Właśnie w sprawach zorganizowania pracy. Nawet z Valentine muszę uzgadniać szczegóły: kto gdzie siedzi, ilu ludzi; sam wiesz.

- Czemu pani młoda nie może tego robić?

- Och, Raleigh, nie zauważyłeś że ta dziewczyna zna zaledwie dwadzieścia słów po angielsku? Zresztą nie mogłeś zauważyć, bo rozmawiasz z nią po włosku. No cóż, nie wszyscy są obdarzeni znajomością trzech języków. Gdybyśmy nie zatrudnili jej do pracy w kuchni i gdyby Randolph nie zakochał się w niej, na pewno byłaby już z powrotem we Włoszech.

- Rozumiem - mruknął Raleigh.

- Widzisz więc, jak to wszystko wygląda. To ja muszę myśleć o kościele, o kwiatach, nie wspominając o sukni ślubnej i smokingu pana młodego. - Złapała się za głowę. - Na dodatek, po ślubie nie mają gdzie zamieszkać. Na szczęście zostanie mi już tylko jedno dziecko do wydania i to nieprędko.

Raleigh pogłodził siostrę po głowie.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Na przykład?

- Mógłbym pracować z dostawcą żywności.

- Zwariowałeś?! Co ty wiesz na ten temat?

- Moja droga Carolyn, założę się, że bywałem na weselach częściej niż ty. Nie obawiaj się, nie będziesz żałowała. Powiedziałaś, że masz wystarczająco dużo roboty.

- Nie brałeś jednak nigdy udziału we włoskim weselu.

- Nic nie szkodzi. Od tego mamy eksperta, panią Valentine Smith. Czyż nie? A poza tym sądzę, że jeśli nie będziesz wtykała swojego nosa w najdrobniejsze szczegóły, ta pani spisze się znacznie lepiej.

- Nie byłabym taka pewna.

- Nic się nie martw. Daj mi tylko listę gości i spis potraw. Wszystkiego dopilnuję.

- Jesteś pewny, że tego chcesz?

- Tak, oczywiście.

Nie ukrywała zadowolenia z takiego obrotu sprawy. Nie lubiła tego biegania do piekarni z każdym drobiazgiem.

- Jesteś taki uczynny. Zastanawiam się wciąż, dlaczego nie udało ci się zaangażować tych tancerek. To też pomogłoby naszemu lokalowi.

- Nie sądzę, by taniec brzucha był najlepszym pomysłem - wtrąciła Carolyn. - To miasto jest jeszcze zbyt konserwatywne.

- Chyba nie widziałaś tych dziewczyn - upierał się Tod. - Już dawno tak się nie śmiałem.

- Niestety, możesz mieć tylko profesjonalne tancerki. Farrah, czyli Tricia Haldran, powiedziała mi, że będzie tańczyć ze swoją stałą partnerką, Pat. Angelina zastępowała ją dzisiaj - powiedział w nadziei, że to zakończy temat.

- Żartujesz. Więc ona była naprawdę taka kiepska? Nie udawała?

- Obawiam się, że tak. Ale ponieważ świetnie bawiła gości, nie martwi mnie to w ogóle.

- Cóż, szkoda.

- Powtarzam, że to nie dałoby niczego dobrego - powiedziała Carolyn. - Wirginia nie potrzebuje tańca brzucha. Tylko kilka kobiet w studiu tanecznym ćwiczy go dla sportu. Poza tym dopiero co przegłosowaliśmy „niebieskie prawo”! Nie ma więc o czym mówić.

- „Niebieskie prawo”? Cóż to takiego? - Raleigh uśmiechnął się, zadowolony z możliwości zmiany tematu.

- Tylko najlepsze lokale mogą być otwarte w niedzielę - wytłumaczyła. - Sam więc widzisz, jak tu jest.

- Żartujesz?

- Ani trochę. Wiele jeszcze zobaczysz i wiele się nauczysz.

- Jednak mimo mojego niedoświadczenia, zdaję sobie sprawę, że to wesele będzie czymś niesamowitym. Kto wie, może staniecie się dzięki niemu miejscową elitą.

- Przestań, Raleigh! Przestań!

- Powiedz mi tylko, gdzie jest piekarnia.

- Przy głównej ulicy - poinformował Tod. - Nie możesz jej przeoczyć, podobnie jak młodej szefowej. Piecze dla nas bułki. Wstaje o czwartej rano i pracuje cały dzień.

Przypomniał sobie nagle, że Angelina też wstaje bardzo wcześnie. Ale to był tylko błysk. W następnej chwili myślał już o czym innym. Nieraz widział kobiety-piekarzy, które z powodzeniem mogły reklamować sobą pulchne bułeczki. Spodziewał się, że młoda szefowa wygląda podobnie.

- Czy naprawdę zajmiesz się zaopatrzeniem? Wesele tuż, tuż. Tyle jest do zrobienia.

Pocałował siostrę w policzek.

- Dla ciebie zrobiłbym wszystko.

- Jesteś pewny, że podolasz?

- Kobieto, jadalem z elitą tego świata. Przypuszczam więc, że potrafię zorganizować przyjęcie nawet tu.

- No więc jeśli chcesz, pokaż, co potrafisz.

W poniedziałek, wczesnym rankiem wyruszył na poszukiwanie piekarni. Tod miał rację, nie sposób było ją przeoczyć. Gdy wszedł do środka, tęga, w średnim wieku kobieta stojąca za ladą zapytała:

- Czym mogę służyć?

Uśmiechnął się. Nie miał wątpliwości, że ma przed sobą ową młodą szefową.

- Dzień dobry - powiedział, wyciągając rękę. - Nazywam się Raleigh Coseegan. Jestem bratem Carolyn Duncan. Chciałbym z panią porozmawiać na temat przygotowań do wesela. Kobieta uśmiechnęła się uprzejmie.

- Pan chce rozmawiać z Valentine Smith. Ja jestem Lucy Hasset, pomagam jej. Lada chwila powinna przyjść.

Rozejrzał się po sklepie. Ściany były wyklejone przyjemną, żółto-białą tapetą, a podłogę pokrywała beżowa wykładzina. Kilka niskich stolików przykrytych żółtymi obrusami stało pod jedną ze ścian, przy każdym z nich - dwa białe krzesła z małymi żółtymi poduszeczkami.

- Może chciałby pan napić się kawy i spróbować naszych wypieków?

- To całkiem dobry pomysł, Lucy. Poproszę pączka orzechowego z kisielom i niedźwiedzi pazur.

Nałożyła ciastka na talerzyk i wraz z kisielom podała na ładnej, żółtej tacce.

- Jaką kawę pan sobie życzy?

- Czarną.

- Proszę sobie spokojnie usiąść. Zaraz przyniosę - powiedziała z uśmiechem.

- Dziękuję. - Usiadł wygodnie na krześle i obserwował krzątanicę Lucy. - Jak długo tu pracujesz?

- Lepiej, żeby pan nie wiedział. Od razu by się pan domyślił, ile mam lat. Cóż, to moja pierwsza i jedyna, jak do tej pory, praca.

- Nie masz więcej niż czterdziestkę, a pracujesz około dwudziestu lat.

- O nie! Nie można obchodzić po raz drugi pięćdziesiątych urodzin.

Trzydzieści pięć lat temu pan Rowland otworzył tę piekarnię.

- Nie do wiary. Czy pan Rowland nadal jest właścicielem?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Ponieważ do sklepu właśnie weszli nowi klienci, musiała przerwać rozmowę.

- Teraz paniemka Smith jest właścicielką - powiedziała po chwili. - To przemiła dziewczyna, mówię panu. Nowa w mieście i, biedne serduszko, zupełnie samotna. - Nim zdążył coś powiedzieć, Lucy ciągnęła dalej: - Ale przecież pan też jest samotnikiem. Nie mam racji?

Pytanie zaskoczyło go kompletnie. Czyżby ta informacja wypisana była na jego twarzy?

- To prawda, nigdy się nie ożeniłem.

- Och, przepraszam, wcale o to nie pytałam! Wiem tylko, że jest pan tu od niedawna.

- Nic nie szkodzi. Będąc kawalerem, przyzwyczailem się do tego, że wszyscy szukają mi żony.

- Rozumiem, że żony panu nie potrzeba.

Już nie raz zastanawiał się nad tym. Do tej pory sądził, iż rzeczywiście nie potrzebował żony, chociaż... Kiedy mężczyzna zaczyna o tym myśleć, nigdy nic nie wiadomo.

- Chyba nie. Ale słusznie pani zauważyła, jestem obcy w tym mieście. Przyjechałem na ślub mojego siostrzeńca, Randolpha Duncana.

- Ach, wiem! Pan jest tym pisarzem.

- Tak, to ja. - Uśmiechnął się.

- Wesele to nasze zadanie - powiedziała entuzjastycznie. - Tort będzie wspaniały. Panienska Smith sama wszystko dekoruje, a jaka ona jest zdolna! Skończyła szkołę cukierniczą w Waszyngtonie. Powinien pan zobaczyć, jakie wspaniale rzeczy tam robiła.

- Tak?

- Niech mi pan wierzy. Zaprojektowała już te specjalne, małe torciki. Dla pary młodej i gości zza oceanu robimy budyń, który ma jakąś śmieszna, obcą nazwę.

- Jaka?

- Nie umiem jej dobrze wymówić. Magelmarel, czy coś takiego.

Oczywiście pieczemy też chleb i bułki na małe kanapeczki.

Słuchał z uwagą. Tod wspomniał, że Valentine zaopatruje także jego restaurację. Wydawało mu się, że to niezwykle pracowita kobieta.

- Te pączki też są zrobione przez nią?

- Słucham? Ach tak, oczywiście! Piekła je panienska Smith.

- Wspaniale. Musi być bardzo zapracowana.



- To prawda, robi więcej, niż powinna. Przychodzi tu o czwartej każdego ranka. Do południa pomaga jej młody Hampton, ale później jest tu tylko ze mną.

- Wygląda na to, że pracuje bez przerwy - podsumował Raleigh.

- Rzeczywiście. Nieraz mówiłam jej: „Kochanie masz dopiero dwadzieścia pięć lat. Idź gdzieś wieczorem, zabaw się!” Ale co ma biedna zrobić? Pan Carruthers podwyższył w zeszłym miesiącu czynsz o pięćdziesiąt dolarów. - Potrząsnęła głową i chwyciła się pod boki. - A przecież nie miał żadnego powodu, mówię panu!

- Nie mogli dojść do porozumienia?

- Do porozumienia?

Dzwonek przy drzwiach przerwał ich rozmowę. Do sklepu wbiegła młoda kobieta. Raleigh odstawił filiżankę i oszołomiony wpatrywał się w nieznajomą. Była blondynką, smukłą i zgrabną. Miała śliczne, niebieskie oczy, zupełnie jak tancerka Angelina.

- Jak leci, Lucy? - rzuciła, kładąc małe pudełeczko na najbliższym stoliku.

- W porządku.

- Czekaj, zobaczysz nowy przepis, który wymyśliłam.

Odwróciła się w tym momencie, by spojrzeć na Lucy, i zobaczyła mężczyznę siedzącego przy stoliku. Zamarła. Raleigh Coseegan we własnej osobie! Nie mogła w to uwierzyć! W jej sklepie! Poczowała, że rumieni się pod jego spojrzeniem.

- Dzień dobry - rzuciła.

Raleigh uśmiechnął się. Od razu rozpoznał jej głos. Miał przed sobą tę tajemniczą, nieuchwytną Angelinę; był tego pewny. Nagle wszystko stało się takie proste i zrozumiałe. Cała ta wczorajsza maskarada, tajemniczość, kłopoty finansowe, o których mówiła Lucy. Starał się jednak nie okazać, iż wie cokolwiek na jej temat. Przyjdzie jeszcze na to czas. Nie chciał, by zamknęła się przed nim; nie chciał jej przestraszyć. Wciąż miał nadzieję, że uda mu się ją poznać.

- Dzień dobry. To pani jest zapewne Valentine Smith?

Próbowała uspokoić walące niczym młot serce. Skąd wiedział? Czy domyślał się czegoś? Tricia obiecała, że nic nie powie! Przełknęła z trudem ślinę.

- Tak, to ja. A kim pan jest? Wstał i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Raleigh Coseegan. Pani zajmuje się weselem mojego siostrzeńca, Randolpha. Carolyn, moja siostra, przysłała mnie, bym panią poznał, ponieważ razem będziemy starali się zapiąć wszystko na ostatni guzik.

- Przepraszam - powiedziała Lucy. - Muszę coś sprawdzić w kuchni.

Nie zauważyli nawet jej zniknięcia. Valentine nie miała zamiaru podawać mu ręki. Zbyt dobrze pamiętała, jakie uczucie w niej wzbudzał. Ignorując wyciągniętą dłoń, zastanawiała się, co robić dalej. Nie mogła uwierzyć w ten zbieg okoliczności. Zwykle rodzina panny młodej organizowała wesele; tym razem było to po prostu niemożliwe. Dziewczyna była Włoszką i nie miała tu nikogo. Val cieszyła się ze współpracy z matką Randolpha.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało pani Duncan. Do tej pory współpracowała ze mną.

- Siostra czuje się wyśmienicie. Jest jednak bardzo zajęta w restauracji, moja pomoc okazała się więc konieczna.

- Rozumiem. - Westchnęła. Cóż mogła powiedzieć? Przecież to pani Duncan organizowała wesele.

Raleigh spojrział na dziewczynę. Niezwykła, jeszcze piękniejsza niż wczoraj. Młoda królowa.

- W czym więc mogę panu pomóc? - zapytała, z trudem wymawiając słowa. Nie mogła zapomnieć, że jeszcze wczoraj ten mężczyzna śmiał się z niej; nie potrafiła jednak uwolnić się spod jego uroku. - Ciasta zaczniemy piec za kilka dni... Więc?

- Więc mógłbym zjeść z panią obiad jutro wieczorem.

- Naprawdę?! Nie sądzę, żeby to było konieczne.

Uśmiechnął się.

- Przecież mamy współpracować. Jest więc wiele rzeczy do omówienia. Dlaczego nie zrobić tego przy smacznym obiedzie? Z przyjemnością poznam plan przyjęcia: przystawki, trunki, dania główne, desery. Zresztą, sama pani wie najlepiej.

Usiadła na jednym z krzeseł i uśmiechnęła się.

- Właśnie teraz mam chwilę wolnego czasu, możemy wszystko spokojnie omówić, panie Coseegan.

- Proszę mi mówić po imieniu: Raleigh - zaproponował. Popił kawy. - Nie należy chyba pani do kobiet, które nie przyjmują żadnych zaproszeń na obiad, panno Valentine?

Jej serce zaczęło bić z jeszcze większą siłą. Czy wiedział, że ona była Angeliną? Jeśli nie, to nie chciała mu ułatwiać rozwiązania tej zagadki!

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze. Teraz nie mogę, niestety, zostać. Więc o siódmej, jutro wieczorem? Gdzie pani mieszka?

Zacisnąwszy usta, rozważała wszystkie za i przeciw. Z pewnością przysłała go pani Duncan. Był tak samo uparty jak wczoraj. Cóż, może ten obiad wszystko wyjaśni.

- Spotkajmy się w restauracji, dobrze? - zaproponowała z uśmiechem.

- Mojej siostry?

- Niekoniecznie. Tak często tam jadam, rozumie pan.

- Więc spotkamy się u pani i zadecydujemy, co robić dalej.

- Dobrze.

Najpierw pan Carruthers, teraz Raleigh Coseegan. Nie była tym zachwycona. Miała wrażenie, że wołała Coseegana, kiedy śmiał się z niej. Nie musiała przynajmniej rozmawiać z nim o sprawach osobistych. Podeszła do lady i wyciągnęła z szuflady wizytówkę.

- Jestem pewna, że pan trafi - powiedziała krótko.

- Też tak sędę. Na całym świecie odnajdywałem zawsze tę właściwą drogę.

Przytaknęła beznamietnie; przyjęła jego kolejny, promienisty uśmiech i przyglądała się, kiedy wychodził ze sklepu.

- Na całym świecie odnajdywałem właściwą drogę... - przedrzeźniała go. - Co pan nie powie, Panie Wspaniały?

- Przystojny, prawda? - powiedziała Lucy, wychodząc z kuchni.

- Przystojny? - Spojrzała przez okno. - Być może - zgodziła się bez entuzjazmu.

- Podobał mi się. Jak na taką osobistość był całkiem uprzejmy.

- Jaką osobistość? - mruknęła Valentine.

- Jak to? Podróżował po całym świecie i opisywał te wszystkie wojny. Jego artykuły są w większości gazet, które czytuje mój mąż, Arnie.

Odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć w jego kierunku. Rzeczywiście był przystojny chyba najatrakcyjniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała. A poza tym to nie byle kto. Co miała robić? Jak z nim pracować i jednocześnie nie wplątać się w kłopoty?

## ***ROZDZIAŁ IV***

Nie mogła się nadziwić, jak szybko minął następny dzień. Oczywiście, była bardzo zajęta, jednak wydawało jej się, że czas płynie szybciej niż zwykle. Mimo że starała się pracować ze zdwojoną energią, nie potrafiła zapomnieć o Raleighu Coseeganie. Poprzedniego wieczoru, przed snem, również nie mogła się uwolnić od rozmyślania o nim. Zła, zmęczona i rozdrażniona skończyła robotę. Nie chciała poświęcać całej swej uwagi temu mężczyźnie. Poważnie traktowała jego deklarację pomocy w urządzeniu wesela. Zdawała sobie sprawę, że nie znosił, gdy kobiety decydowały za niego lub przeciwstawiały mu się. Pamiętała jego zdziwienie, kiedy powiedziała: nie. Miała nadzieję, że sprawi mu jeszcze niejedną niespodziankę. Niestety, musiała pójść na ten obiad. Na odrzucenie propozycji było za późno. Najwyższa więc pora, by pojechać do domu i przygotować się na tę randkę.

„Spotkanie w interesach, a nie żadna randka” - poprawiła się szybko.

Walczyły w niej sprzeczne uczucia. Była zła na Raleigha, że zmusił ją do spotkania, a jednocześnie cieszyła się z tego. Brady swoimi kłamstwami i straszliwą zdradą zranił ją tak mocno, że myślała, iż nigdy nie zaufa już żadnemu mężczyźnie. Co za absurd!

Gdy przyjechała do domu i zaczęła przymierzać stroje, denerwowała się i narzekała. Zawsze powtarzała, że nie jest ważne, co człowiek ma na sobie. Teraz jednak, wyciągając kolejną suknię, była coraz bardziej zła.

- Do cholery! - mruknęła wreszcie pod nosem. To śmieszne. Przecież każda z tych sukienek nadawała się na tę okazję. Nosiła je do pracy w Bostonie. - Przecież ja nie chcę niczego specjalnego - powiedziała do siebie ostro. - I co z tego, że Raleigh Coseegan jest przystojnym, światowym mężczyzną. Przecież to robocze spotkanie. - Wzięła pierwszą z brzegu sukienkę, odłożyła ją na łóżko i poszła do łazienki.

„Nawet nie lubię tego Coseegana” - pomyślała, przypominając sobie jego śmiech w restauracji. To prawda, że nie była najlepszą tancerką, ale... Nagle uświadomiła sobie, że przecież on nie musiał rozpoznać w niej Angeliny. Westchnęła. To przez Brady'ego była tak podejrzliwa. Skąd Raleigh miałby wiedzieć? Nie mógł, po prostu nie mógł. Chciała zapomnieć, że kiedykolwiek w ogóle tańczyła.

Na głos dzwonka zadrżała. Uspokoila się jednak szybko i postanowiła przyjąć go grzecznie i chłodno. Jednak kiedy już otworzyła drzwi i zobaczyła Raleigha, postanowiła, że zrezygnuje z oficjalnego tonu. Wyglądał tak interesująco!

- Hm, dobry wieczór! - powiedział ciepłym, głębokim głosem.

Och, czy on nie mógł wyglądać jak żebrak i mówić jak stara ropucha?

- Hallo! - Ugryzła się w język trochę za późno.

Bez względu na to, po co on tu dzisiaj przyszedł, zamierzała trzymać się z dala od tego mężczyzny. Zdała sobie sprawę, że zaczyna bardziej obawiać się siebie niż jego.

Raleigh od razu wyczuł, iż pierwsza próba trzymania go na dystans nie powiodła się. Miał ochotę objąć tę piękną blondynkę i powiedzieć, że chce i może uczynić ją szczęśliwą. Musiał jednak zwolnić tempo. Valentine nie była podobna do kobiet, z którymi zwykle miał do czynienia. Wydawała się taka niewinna i niedoświadczona. Na pewno nie spotkało jej nic gorszego niż złamane serce. Instynkt wytrawnego reportera podpowiadał mu, że dziewczyna boi się. Dlaczego? Nie miała przecież żadnych powodów.

Była tak piękna, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Już nigdy nie pozwoli jej tańczyć na scenie. Przypomniał sobie za duży kostium, który miała wtedy na sobie. Zaśmiał się w duchu.

- Co pana tak śmieszy, panie Coseegan?

- Jestem po prostu szczęśliwy na pani widok. Obawiałem się, że nie zastanę pani w domu. Nie była pani zbyt entuzjastycznie nastawiona do dzisiejszego spotkania, a jednak... Wygląda pani bosko!

„Przecież mogłam włożyć coś innego” - zgaśniła się w myślach.

Wyobrażała sobie, jak wyglądały kobiety, które zwykle jadały z nim obiad: egzotyczne, piękne, doskonale ubrane i umalowane. Gdy ponownie spojrzała na Raleigha, zawstydziała się. Dlaczego nie mówi prawdy?

- To zupełnie prosta sukienka, na oficjalne spotkania. Zanim otworzyłam piekarnię, pracowałam w banku. - Czują, że się czerwieni. Po co mu to powiedziała? Po co wspomniała ten przeklęty bank?

- Żałuję, że nie miałem okazji do niego trafić. Z pewnością klienci byli panią zachwyceni.

Znów się zawstydziała. W banku pracowała zaledwie dwa lata. Nie mogła dłużej wytrzymać w Bostonie. Wirginia była wspaniałą przystanią. Od razu poczuła się tu świetnie. Wychowała się właśnie w takim miasteczku, w Północnej Karolinie. Mieszkała ze swoim dziadkiem i dopiero po jego śmierci pojechała do dużego, obcego, ale jednak interesującego świata. Nie spotkało jej tam jednak nic oprócz upokorzenia i wstydu. Miała wrażenie, że całe jej życie było bezwartościowe. Wiedziała, że nie ma nic wspólnego z tym mężczyzną. Trzeba więc jak najszybciej przygotować wszystko, co dotyczy zaopatrzenia weselnego stołu i mieć nadzieję, że Coseegan wyjedzie, gdy tylko uroczystość dobiegnie końca.

- Czas już na nas - powiedziała nagle. - Jak już wspomniałam, muszę wstać wcześniej. Mówiąc szczerze, panie Coseegan, moglibyśmy sobie darować ten dzisiejszy obiad i omówić wszystko w sklepie.

- Och, czyżbym postępował wbrew tutejszym zwyczajom? Jeśli tak, przepraszam. Ale prawdę powiedziawszy, przywykłem interesy omawiać przy obiedzie.

Nie wiedziała, czy drażni się z nią, czy mówi poważnie.

- Wszystko w porządku. Przecież wszędzie są różne zwyczaje. Kiedy mieszkałam w Bostonie ... - Urwała w pół zdania. Czemu uparła się przypominać te wstretne czasy? Czyżby poniżenie, które ją tam spotkało, tak bardzo kojarzyło się z tym okropnym tańcem brzucha?

- Dziękuję, że mnie pani zrozumiała.

- Możemy iść?

Nie odpowiedział, tylko delikatnie dotknął jej dłoni i pchnął drzwi. Zamknęły się cicho.

- Uwielbiam te małe miasteczka na Południu, ale mam dwie prośby. Czy nie moglibyśmy zwolnić tempa pracy i czy mogłabyś przestać nazywać mnie panem Coseeganem? - powiedział z uśmiechem. - Odnoszę wtedy wrażenie, że jestem już stary i chociaż nie wstydzę się swego wieku, nie lubię, gdy ktoś przypomina mi o nim.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. Raleigh Coseegan stary? Co za głupota! Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widziała równie wspaniałego mężczyzny. Nie sądziła, by miał więcej niż trzydzieści lat.

- Nie masz jeszcze pewnie trzydziestu dwóch lat.

- Zakładam się o tort urodzinowy twojej produkcji, że mam więcej, niż myślisz - odpowiedział szybko. „Będzie to jeszcze jedna okazja, żeby się z nią zobaczyć” - pomyślał.

Czemu miałyby się z nim zakładać? Co będzie, jeśli przegra? Kolejne spotkanie przy torcie? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie zakładam się!

- Ależ daj spokój - nalegał, próbując użyć całego swojego daru przekonywania. - Tylko jeden mały tort. Nie pamiętam już, jak wygląda tort urodzinowy. Jeśli przegrasz, zrobisz go za darmo. Jeśli ja przegram, kupię go od ciebie. Moje urodziny są za dwa tygodnie, w dniu ślubu Randolpha. Nic na tym nie tracisz!



Spojrzała na niego ponownie. Dlaczego nalegał, by się z nim założyła?  
Westchnęła zrezygnowana.

- Muszę ci jednak coś powiedzieć, aby zakład był uczciwy. Wiem, że jesteś młodszym bratem pani Duncan. Ona ma trzydzieści dziewięć lat, więc ty masz nie więcej niż trzydzieści pięć.

- Jeśli przegrasz, osobiście upieczesz tort, zgoda?

- A ktoś inny to zrobi? Mam do pomocy tylko niedoświadczonego pomocnika. Ale ostrzegam cię. Moje wypieki są najdroższe w tym mieście.

- Rozstrzygniemy nasz zakład podczas obiadu, dobrze? - Uśmiechnął się zadowolony.

- W porządku.

Zdziwiła się bardzo, kiedy pojechali do sąsiedniego miasta. Nigdy tam jeszcze nie była. Raleigh bezbłędnie trafił do restauracji.

- Często odwiedzasz swoją siostrę? - zapytała z ciekawością.

- Byłem tu tylko trzy razy. Jesteś zapewne ciekawa, skąd znam tę restaurację? To z powodu mojej niespokojnej duszy. Kiedy zjawiam się w nowej okolicy, jeżdżę, zwiedzam, sprawdzam, słowem - myszkuję. Mówiąc szczerze, tak właśnie wygląda w skrócie całe moje życie - powiedział. Jestem wścibski i... uwielbiam odkrywać nowe restauracje. Czy byłaś tu kiedyś przedtem?

- Nie rozglądam się wokół siebie tak jak ty. Rozumiesz: praca...

- Myślę, że spodoba ci się tutaj. Jeśli lubisz włoską kuchnię, to ta jest całkiem niezła.

- Uwielbiam włoskie potrawy. - Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się prawdziwy uśmiech. Odkąd wyjechała z Bostonu, nie miała okazji zajrzeć do takiego lokalu. Kiedyś razem z Bradym... Znowu ten Brady! Czy nie mogła wymazać go z pamięci?

- Podają tu przepyszne *fettuccine* - powiedział, wysiadając z samochodu.

„*Fettuccine*” - przypomniała sobie Valentine. Jej przysmak! O, jak dawno to było! Razem z Bradym dzieliła ogromy talerz *fettuccine* i *antipasto*.

Raleigh pomógł jej wysiąść z wozu. Poczowała ciepło jego dłoni. Przeszył ją dreszcz podniecenia. Żaden mężczyzna nie dotykał jej w ten sposób. Jego bliskość drażniła zmysły dziewczyny. Gdy wchodzili do restauracji, czuła się jednak dumna, że idzie obok Raleigha Coseegana. Zwracał na siebie uwagę. Widziała, że ludzie mu się przyglądają. Raleighowi najwyraźniej to nie przeszkadzało.

„Nic dziwnego - uświadomiła sobie Val. - Przywykł do tego”

- Dobry wieczór - powiedział uprzejmie do kelnerki, która podeszła, by wskazać im miejsce.

Wysoka brunetka uśmiechnęła się zalotnie do niego, zupełnie ignorując Valentine.

- Dobry wieczór, panie Coseegan. Jak miło znowu pana widzieć. Kuchnia mamy zapewne panu odpowiada?

- Rzeczywiście. Wasza restauracja jest jedną z lepszych na Południu. Proszę powiedzieć to mamie. - Delikatnie wysunął Valentine do przodu. - Wszystko jest tak wspaniałe, że chciałbym, aby moja dama również miała okazję się o tym przekonać. Jest właścicielką piekarni, więc zna się na dobrym jedzeniu.

Była tak zadowolona z komplementów, że nie zauważyła zawiedzionej miny kelnerki.

- Mama na pewno się ucieszy. Czy zostanie pan i porozmawia z nami chwilę?

Spojrzał na Valentine. Jej serce zabiło mocniej.

- Nie dziś wieczór. Zabieram moją damę na przejażdżkę.

- Cóż, trudno...

Zaprowadziła ich do stolika stojącego naprzeciwko olbrzymiego okna, z którego rozciągał się widok na przepiękny, różany ogród.

- Dziękuję, Genna. To miejsce jest urocze. Uśmiechnęła się i położyła na stole menu.

- Zaczniemy od wina? - zapytał Raleigh, podsuwając Val krzesło. Był tak blisko, że czuła bicie jego serca.

„Jaki on wspaniały!” - pomyślała i odpowiedziała:

- Tak, proszę.

Nie poznała własnego głosu. Słuchała, jak Raleigh zamawia wytrawne wino. Nie znała się specjalnie na gatunkach, chociaż często pijała wino z Bradym. „Znowu ten Brady!” - pomyślała ze złością. Czemu te myśli nie dają jej spokoju?

Kiedy Genna odeszła, mężczyzna delikatnie dotknął ręki Valentine. Spojrzała na niego. Nie zdawała sobie sprawy, że myśli o czymś innym. Zapomniała na chwilę o nim.

- Myślę, że podoba ci się tutaj? - zapytał, lekko muskając jej dłoń.

- Jest miło. - Znow poczuła dreszcz podniecenia.

- Masz taką śliczną skórę - szepnął. - Tak delikatną.

- Dziękuję - odpowiedziała, umykając dłonią. Wzięła menu.

Raleigh obserwował ją przez moment; szukała czegoś specjalnego. Wyglądała bardzo interesująco. Długie, złote włosy opadały na ramiona, policzki pałały dziewczęcymi rumieńcami. Czuł, że nie zdobędzie jej łatwo, wiedział jednak, iż nie może się poddać.

- Proponuję *antipasto*.

- Z przyjemnością.

- Wezmę także *fettuccine* - dodał. - A ty już zdecydowałaś?

- Ja również.

Genna podeszła z butelką wina. Raleigh spróbował odrobinę i uśmiechnął się z aprobatą. Val była mile zaskoczona. Nawet w Bostonie, gdzie zdarzyło jej się bywać w dobrych restauracjach, wino po prostu przynoszono i niedbale serwowano. Spoglądając na Coseegana, zastanawiała się, czy wszyscy byli tu traktowani podobnie, czy też on miał jakieś specjalne przywileje.

- Wspaniale - powiedział. - Wyśmienite.

Genna uśmiechnęła się.

- Mama wiedziała, że będzie panu smakować. - Postawiła butelkę i położyła dłoń na jego ramieniu. - Powiedziała również, że musi pan przynajmniej na chwilę wpaść do niej, do kuchni, pogadać.

Raleigh zgodził się z ochotą. Złożył zamówienie, a następnie odsunął krzesło Valentine. Kelnerka nie była zadowolona. Val już chciała odmówić, ale Raleigh okazał się szybszy i poprosił, by z nim poszła.

W kuchni poznała Marię. Właścicielka restauracji słabo mówiła po angielsku, ale ponieważ wszyscy znali włoski, nie było problemu. Raleigh przedstawił Valentine i wspomniał oczywiście o jej piekarni.

- Dostarcza żywność na przyjęcie mojego siostrzeńca - dodał. - Przygotowuje sama wszystkie potrawy. Panna młoda pochodzi z Włoch.

- Niemożliwe - zdziwiła się Maria. - Jak się nazywają? Może ich znam?

Okazało się jednak, że nie spotkała nigdy Mimmi i jej rodziny. Cosegan zaprosił ją na wesele, zwróciła się więc z zapalem do Valentine:

- Musimy pogadać o przepisach! Mój jest... - Nie tracąc słów, cmoknęła głośno.

- Z przyjemnością posłucham rad doświadczonej osoby.

- Pomogę ci, jeśli chcesz.

- Byłabym zaszczycona. - Roześmiała się.

- Nie traćmy więc czasu. Zajmę się waszym zamówieniem i później pogadamy.

Raleigh szepnął jej na boku:

- Ale niedługo. Zabieram dziś moją damę na nocną przejażdżkę.

W czarnych oczach Marii zabłyśły figlarne iskierki.

- Rozumiem, nocna przejażdżka. Czy to nie miłość?

Valentine była zawstydzona. Dopiero gdy wyszli z kuchni, przypomniała sobie, że spotkali się tu przecież w interesach! A ta nocna przejażdżka... Kiedy z powrotem usiedli przy stole, splotła dłonie.

- A teraz, Raleigh, porozmawiajmy o interesach.

Spojrzał na nią poważnie.

- Tak, a o czym konkretnie? Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Cóż - kontynuował Raleigh - koszty nie grają roli. Ma to być coś niezwykłego, specjalnego. Wesele samo w sobie jest romantyczne. Nie sądzisz? Miłość to coś szczególnego, to magiczna siła. Uwielbiam patrzeć na Randolpha i Mimmi. Oni nie mogą się sobą nacieszyć.

- Tak, to prawda. - Westchnęła. Zaskoczył ją swoimi słowami.

- Czy znasz pannę młodą?

- Tylko z widzenia. Pani Duncan była z nią w sklepie. Mimmi jest bardzo nieśmiała.

- To prawda, ale jednocześnie tak czarująca.

- Masz rację. - Spojrzała mu w oczy. - Czy byłeś kiedyś żonaty?

Roześmiał się głośno, co po raz kolejny zawstydziło Valentine. Było już za późno, żeby odwołać pytanie.

- Myślę, że jestem zbyt cynicznie nastawiony do małżeństwa - stwierdził.

- Niemniej, podziwiam piękno i siłę tego związku. A jednak... Zwykle obie strony są bardzo szybko zawiedzione i rozczarowane. Mam nadzieję, że z Randolphem i Mimmi będzie inaczej - dodał szybko. - A czy ty... miałaś już męża?

Mimo że to ona zaczęła, nie spodziewała się tego pytania. Zaprzeczyła ruchem głowy, wciąż myśląc o Bradym. Byli przez rok zaręczeni. Zaręczeni! Wykorzystał ją tak nikczemnie.

- Ale założę się, że niewiele już brakowało. Taka południowa piękność jak ty - szepnął.

- Południową pięknnością jestem od czasów, gdy tu mieszkam. Spędziłam też kilka miesięcy w Bostonie.

„I znowu ten Boston” - pomyślała, zła na siebie. Ale Raleigh najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi.

- Posiadasz wszystkie przymioty południowej damy. Spokój, rozwagę i mądrość połączone ze wspaniałym wyglądem. I jesteś niezwykle słodka, kiedy nie denerwujesz się na mnie.

W dzisiejszych czasach wyrażenie „południowa piękność” nie brzmi już tak wspaniale. Jednak na pewno wolała to niż rolę przestępczyni czy tancerki. Sięgnęła po kieliszek wina. Czuła przyjemne odprężenie i obawiała się, że nie będzie potrafiła skupić się na interesach.

- Praca jest dla mnie bardzo ważna. Muszę odnowić tradycje piekarnictwa w tym mieście.

Począł, aż Val odstawi kieliszek i delikatnie ujął ją za nadgarstek.

- Valentine Smith, nie musisz się tym martwić. Całe miasto wychwala twoją piekarnię.

- Dziękuję. - Starła się wyrwać dłoń z jego uścisku, ale nie dawał za wygraną.

- Myślę, że jesteś niezwykła.

Słowa te sprawiły jej dużą przyjemność. Nie chciała jednak, by odkrył, jak długo na nie czekała. W tej samej chwili pojawiła się Genna z *antipasto*. Rozstawiając z werwą talerze, przywróciła Valentine do rzeczywistości. Czemu, do diabła, pozwala sobie na flirt z tym Romeo, który lada dzień odjedzie w daleki świat?

„Jeśli nie będę ostrożna - pomyślała - może zranić mnie nie mniej niż Brady”. Już teraz zapalił w jej sercu iskierkę.

- Za kilka minut główne danie będzie gotowe - powiedziała Genna, znowu uśmiechając się do Raleigha.

- Wracając do wesela, czy masz jakieś specjalne życzenia?

„Do cholery - pomyślał - znów od początku”.

Spokojny ton dziewczyny zaczął go drażnić. Uśmiechnął się.

- Carolyn chce, żeby olśniło całe miasto - powiedział tajemniczo. - Oczywiście najważniejszy jest romantyczny charakter całości. Miłość musi

przełamywać kulturalne i geograficzne granice. Myślę, że połączenie kuchni południowoamerykańskiej z włoską byłoby najlepsze. Oczywiście, nie możemy zapomnieć o tradycyjnych potrawach. - Nachylił się ku niej. - Oficjalna część to nie nasza sprawa, niemniej wydaje mi się, że gdyby wszyscy: kwiaciarki, dostawcy, panna młoda i cała rodzina współpracowali ze sobą, efekt byłby najlepszy.

Valentine westchnęła. Ten ślub to rzeczywiście niezwykle przedsięwzięcie. Wiedziała o tym od samego początku; kiedy jednak Raleigh tak wspaniale to wszystko przedstawił, poczuła niezwykły zapał do pracy. Chociaż Carolyn nie raz rozmawiała z nią o przyjęciu, nigdy nie ujęła tego tak zgrabnie.

Napotkała jego wzrok. Naprawdę chciała dobrze wykonać powierzone jej zadanie. Czowała, że potrafi. Martwiła ją jednak bliska współpraca z Raleighem. Ale czy to rzeczywiście taki problem?

## ***ROZDZIAŁ V***

- Co o tym sądzisz? - zapytał, gładząc dłoń Valentine.

- Myślę, że to cudowny pomysł - odpowiedziała szczerze i już zaczęła myśleć o możliwościach połączenia kuchni południowoamerykańskiej z włoską. To było wspaniałe pole do popisu.

Uśmiechnął się. Gdy rozmawiali o kuchni, jej niebieskie oczy lśniły, a twarz nabierała rumieńców. Gestykulowała energicznie.

Spojrzał na jej prostą sukienkę i przypomniał sobie, jak zgrabnie wyglądała w stroju tancerki. Była taka pociągająca. Nie chciał myśleć o tym teraz, ale siedziała tak blisko... Pragnął wziąć ją w ramiona. Wyobrażał sobie ich pocałunki, pieszczoty.

- Raleigh, co o tym myślisz? Czy to nie wspaniałe?

Westchnął. Ciekawe, czy zdziwiłyby ją jego myśli.

- To niesamowite - powiedział, uśmiechając się z nadzieją, że udzielił właściwej odpowiedzi.

- Mówię o starym południowoamerykańskim przepisie na budyń chlebowy kontynuowała jednym tchem. - A jeśli chodzi o kolor, to chyba najlepsza będzie czerwień. Takie też powinny być kwiaty. Czerwień to kolor miłości.

Pragnął tej kobiety, chciał kochać się z nią, czuć ciepło jej ciała i radość zbliżenia. Valentine wydawała mu się coraz bardziej czarująca. Pokochał jej zapach do pracy. Przypuszczał, że z równym zapachem podchodziła do wszystkiego w swoim życiu. Miał nadzieję, że przekona się o tym niebawem. To prawda, był zbyt cyniczny, by wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, ale wiedział, że jego poglądy mogą się zmienić. Może to właśnie spotkanie Valentine Smith stanowiło punkt zwrotny w jego życiu.

Chciał ją poznać. Musiał odkryć wszystkie jej tajemnice.

- Opowiedz mi, dlaczego osiadłaś w Wirginii. Czemu z wielkemiejskiego banku przeniosłaś się do małej piekarni?

W tym momencie zapragnęła opowiedzieć mu wszystko, ale zawahała się. Znała go przecież tak krótko. Poza tym on niedługo wyjedzie; nie chciała, by zwątpił w jej uczciwość.

- Mój dziadek miał piekarnię. Pamiętam to z dzieciństwa. - Zamknęła na chwilę niebieskie oczy. - Prawdopodobnie z mojego powodu ją utracił. Musiał się mną opiekować - dodała lekko zawstydzona.

Pomyślał, że dla niej rzuciłby wszystko. Wyobrażał sobie, jak czarującym dzieckiem musiała być Valentine.

- Obawiam się, iż trochę mnie rozpieścił.

Wtedy nie miałam pojęcia, że moi rodzice byli bardzo młodzi i żyli bez ślubu. Oboje mnie nie chcieli. Wiedziałam tylko, że mój dziadek mnie kocha. Nie brakowało mi ciepła domu rodzinnego. Mieszkaliśmy nad piekarnią. Moje



dzieciństwo upłynęło wśród zapachów ciast - dodała. - Wszyscy lubili dziadka. Umiał rozmawiać z ludźmi.

- Wygląda na to, że miałaś szczęśliwe dzieciństwo.

- To prawda. Aż do czasu, gdy dziadek stracił piekarnię. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, jaki to musiał być dla niego cios. Żyliśmy z zasiłku, a i tak niczego mi nie brakowało. Byłam wtedy zbyt młoda, żeby zrozumieć. Jego marzenia umarły wraz z piekarnią. Cały swój czas i miłość poświęcał mnie. - Spojrzała w dal. - Obawiam się, że opiekował się mną aż nadto. Zatraciłam wtedy realistyczny obraz świata. Później, przez kilka lat ja opiekowałam się dziadkiem i dorywczo pracowałam w banku. Kiedy umarł, wyjechałam do Bostonu. - Zaśmiała się. - Na początku było nawet fajnie...

- Czemu tylko na początku? Wzruszyła ramionami.

- Nie wszystko potoczyło się tak, jak to zaplanowałam...

- Czyżby jakiś mężczyzna? - zapytał delikatnie.

Nie domyślała się, że jej niebieskie oczy to otwarta książka. Była zdziwiona pytaniem. Skąd mógł wiedzieć? Może ktoś mu powiedział?

- Och, było ich kilku! - powiedziała z zamierzoną nonszalancją. - Nic poważnego. Takie młodzieńcze miłostki. Dziadek ostrzegał mnie przed popełnieniem błędu mamy. Zawsze mi powtarzał, bym nie spieszyła się z miłością.

- Myślę, że to mądra rada - odparł z uśmiechem. - Jesteś piękna. Zapewne niejeden mężczyzna pragnął twojej miłości. - Wiedział coś o tym, do diabła, sam się o tym przekonał.

Znów spojrzała przed siebie. Nigdy nie uważała się za specjalnie piękną. Była zgrabna, szczupła, ale żeby piękna?! Dziwnie się czuła, gdy mówił do niej w ten sposób.

- A jak wyglądało twoje dzieciństwo? - zapytała.

Uśmiechnął się.

- Carolyn i ja byliśmy rozpuszczeni. Rodzice nie należeli do najbogatszych, ale oboje pracowali i zarabiali całkiem nieźle. Niczego nam nie brakowało. Tak się żyło w Kalifornii - dodał.

- Nie zmarnowałeś tego. Tak wiele zrobiłeś, wiele podróżowałaś, pisałeś o wszystkim. To fascynujące.

- Owszem, czasem. - Wzruszył ramionami.

Kiedyś myślał, że to najwspanialsza droga życia, ale teraz wydawało mu się, iż ten etap ma już za sobą.

„Może się zestarzałem” - pomyślał i to przypomniało mu zakład z Valentine.

- A wracając do sprawy mojego tortu urodzinowego - powiedział z figlarnym błyskiem w oczach. - Kiedy go upieczesz? Wydaje mi się, że moje urodziny musimy uczcić przed weselem. Nie chciałbym zakłócać tego wielkiego dla Mimmi i Randolpha dnia. Czuję się zaszczycony, że dzień moich urodzin wybrali na swój ślub.

- Oczywiście, to zaszczyt. A jeśli chodzi o ten tort, zupełnie zapomniałam o naszym zakładzie. Nie pokazałeś mi żadnego dowodu potwierdzającego twój wiek.

- Odnoszę wrażenie, że nie ufasz ludziom, a może tylko mężczyznom? - Uśmiechnął się.

- To tobie nie ufam.

- Nie chcę kłamać, Valentine - powiedział poważnie. - I nigdy tego nie zrobię.

Ich spojrzenia spotkały się. Dziewczyna miała wrażenie, że chciał przez to powiedzieć znacznie więcej. Nie wiedziała, dlaczego tak ją to denerwuje.

Wyciągnął prawo jazdy. Valentine roześmiała się głośno.

- W porządku. Przegrałam. Piekę tort.

- I powiesz mi jeszcze, że jak na trzydzieści sześć lat wyglądam całkiem nieźle? - drażnił się z nią. - Przepraszam, wiem, że czujesz się głupio.

Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, jak trafnie to ujął. Odkąd pojawił się w mieście, robi z niej głupią, słodką idiotkę.

- Przyznaję, ale przecież pomyliłam się zaledwie o rok. Byłam przekonana, że nie skończyłeś jeszcze trzydziestu pięciu.

- Na początku myślałaś, że jestem jeszcze młodszy, prawda?

- Tak.

Oboje zdziwili się, gdy nadeszła Genna z zamówionymi daniami. Nie zauważyli, kiedy *antipasto* zniknęło z talerzy. Ich kieliszki wciąż były prawie pełne.

- Widzisz, nie marnowano czasu w kuchni. Mówiąc szczerze, trochę zapomnieliśmy o naszym obiedzie. Co powiesz na nadrobienie strat?

- Zaczynamy. - Uśmiechnęła się.

Chciała choć na chwilę zapomnieć o torcie urodzinowym dla Raleigha. Założyła się, musiała więc dotrzymać słowa. Nagle zdała sobie sprawę, że zgłodniała podczas tej rozmowy. Na szczęście nie myślała w tej chwili o Bradym, z którym nieraz jadła tę potrawę.

- Wygląda bosko - dodała.

„Tak jak ty” - pomyślał Raleigh. Upił wina i zaczął jeść. Miał nadzieję, że kiedy zajmie się jedzeniem, przestanie myśleć o tej pięknej dziewczynie, która siedziała naprzeciw niego. Może...

Godzinę później wpadli jeszcze na chwilę do kuchni, by wyrazić swoje uznanie Marii. Raleigh nie mógł się doczekać chwili, gdy skierują swe kroki do samochodu. Pragnął zostać z Valentine sam na sam. Val po smacznym posiłku i dużej ilości wina była niezwykle wesoła. Podobał się jej ten przystojny, delikatny mężczyzna. Bardzo się jej podobał. A to takie niebezpieczne.

- Jedziemy na nocną, księżycową przejażdżkę - powiedział, zapalając silnik.

Roześmiała się.

- Raleigh, naprawdę nie chciałam ci tego mówić, ale dziś nie ma księżyca. Nie jestem specem od pogody, wydaje mi się jednak, że pada deszcz.

Tym lepiej.

- Dlaczego?

Zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że ten wieczór jest czymś niezwykłym, czymś, czego już dawno nie przeżył.

- Kocham taką deszczową pogodę. A ty?

Valentine wzruszyła lekko ramionami. Prawdę mówiąc, ona też uwielbiała słuchać uderzających o szyby lub dach kropel deszczu. Była w nich jakaś magiczna, hipnotyczna siła. Szczególnie wiosną tu, na Południu, deszcze wydawały się takie niezwykłe. Czasem przychodziły też burze. Dziki, szalejący wiatr, strugi wody i błyskawice. Podziwiała nieposkromiony żywioł.

- Hej! Valentine!

- Lubię deszcz - stwierdziła i dodała w myślach: „Ciebie też lubię. Nawet za bardzo”.

- Jest taki romantyczny, nieprawdaż? - szepnął.

Zastanawiała się, czy to jej wyobraźnia, czy Raleigh naprawdę wspominał coś o romansie? Dlaczego? Czy taką miał naturę? A ona? A może to ta noc?

Nie mogła pozwolić sobie na podobne myśli. Nie była na tyle głupia, aby zgodzić się na nocną, księżycową przejażdżkę.

Deszcz wzmagał się.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odwiesz mnie do domu - powiedziała tonem, który znowu podrażnił jego zmysły.

- Tylko krótka przejażdżka - nalegał. Chciał być z nią choć chwilę dłużej.

- Raleigh! Przed nami i tak dwadzieścia pięć mil drogi do domu. To będzie wspaniała, krótka przejażdżka.

- Chciałem cię zabrać na szczyt wzgórza, stamtąd widać całe miasto.

- Nie - odparła stanowczo i krótko. Zdawała sobie sprawę, że byłoby miło i romantycznie, ale wołała tego unikać.

- Przyjechaliśmy tu porozmawiać na temat wesela. Omówiliśmy wszystko i naprawdę muszę wracać do domu. I tak przed nami jeszcze kawał drogi.

Wyjechali na szosę. Położył rękę na oparciu, tuż obok głowy Valentine. Czują na szyi jego palce.

- Jesteś pewna? Stamtąd roztacza się naprawdę cudowny widok.

Jeśli wcześniej się wahała, teraz powiedziała zdecydowanie:

- Nie.

Chciał nalegać, przysięgać, zrobić coś, co zmieniłoby jej decyzję. Ale wiedział, że siłą nic nie załatwi. Pozostało mu tylko cieszyć się ze współpracy, która ich czekała, i z tortu urodzinowego. Postanowił zorganizować małe, urodzinowe przyjęcie tylko dla nich dwojga.

- Cóż - powiedział, próbując ukryć rozczarowanie i złość. - Omówiliśmy wszystko, co najważniejsze, moja damo! Czas wracać.

Gdy stanęli przed jej domem, zapytał:

- Kiedy znowu porozmawiamy o weselu? Carolyn da mi dzisiaj listę gości, będziemy więc mogli ocenić, ile jedzenia należy przygotować.

- Możesz zajść do mnie, do sklepu, kiedy tylko zechcesz. Jest otwarty od szóstej do siedemnastej i większość czasu spędzam właśnie tam.

„Cholera!”- zaklął Raleigh w duchu. Nie łatwo było z nią wygrać. Sądził, że wspólny obiad coś zmieni, ale teraz znowu wydawało mu się, iż traci grunt pod nogami. Wsiadł z samochodu i pospieszył, by otworzyć drzwi Valentine. Ona była już jednak na zewnątrz.

- Odprowadzę cię do drzwi - zaproponował.

- Ależ nie trzeba. Tak mocno pada. Proszę, wracaj do samochodu,

- Lubię deszcz i bardzo chcę odprowadzić cię do domu. Czy mogę? - zapytał, starając się, by jego głos był miły i delikatny.

- Dobrze. Jeśli się nie rozpuścisz.

- Nie boję się o siebie, tylko o ciebie.

To była prawda. Jakaś wewnętrzna siła, której nigdy wcześniej nie odczuwał, kazała mu troszczyć się o Valentine. Wiedział, że dziewczyna jest ambitna i uparta, ale w jego oczach była przede wszystkim delikatną i piękną kobietą.

- Ja na pewno się nie rozpuszczę. Jestem silniejsza, niż myślisz.

Uśmiechnął się nieśmiało. Nie sądził, by rzeczywiście tak było.

Val odetchnęła z ulgą; Raleigh nie wziął jej pod rękę, tylko szedł spokojnie obok.

- Dobranoc - powiedziała, gdy zbliżyli się już do drzwi.

- Nie zaprosisz mnie do siebie na chwilę? Taki deszcz...

Zaprzeczyła ruchem głowy. Jeszcze tego brakowało, by zostali sam na sam u niej w mieszkaniu!

- Mówiłeś, że lubisz deszcz. Pamiętasz?

Stał przez chwilę zakłopotany. Tak bardzo jej pragnął.

- Dobranoc - powtórzyła, obracając się, by otworzyć drzwi.

- Dobranoc - szepnął.

Spojrzała na niego przez ramię i posłała mu uśmiech na pożegnanie. W tym momencie Raleigh przyciągnął ją do siebie. Połączyli się w namiętym pocałunku. Jej usta były tak słodkie, tak bardzo słodkie i rozpalone. Czuł, że dziewczyna nie opiera się. Jego serce waliło w piersiach jak oszalałe. Już dawno nie przeżywał czegoś podobnego. Valentine poddała mu się całkowicie.

Przytulił ją mocniej. Miał wrażenie, że są stworzeni dla siebie.

Dziewczyna westchnęła z rozkoszy. Miłość i pragnienie Raleigha były silne i wspaniałe. Jeszcze przed chwilą chciała się przed nim bronić, ale teraz jej kobieca natura wzięła górę. Och, ten szaleńczy pocałunek...

Całował teraz jej szyję. Dziewczyna reagowała na każdą pieszczotę. Dotknął piersi. Val z trudem łapała oddech. Tuliła się do niego coraz bardziej. Pragnęła go. Coraz bardziej go pragnęła!

Nagle odsunęła się. Co ona robi? Jeśli kiedykolwiek chciała związać się z jakimś mężczyzną, to nigdy w ten sposób. W szaleńczym pośpiechu, z nieznajomym, który tak szybko zniknie z jej życia, jak się w nim pojawił.

- Przestańmy - szepnęła, uwolniwszy się z uścisku. Wiedziała, że oboje są winni tego, co się stało.

- Valentine, och, słodka Valentine - szeptał, z trudem łapiąc oddech. - Nie rób mi tego.

- Wybacz - powiedziała drżącym głosem. - To wszystko stało się tak szybko. Nie zdążyłam nad sobą zapanować.

- Nie odchodź w ten sposób.

Na szczęście uwolniła się już z jego objęć! Tak niewiele brakowało. Ledwo trzymała się na nogach. Drżała. Otworzyła drzwi i wtedy poczuła się bezpiecznie. Szybko przekroczyła próg. Raleigh został na zewnątrz.

Długo stał na werandzie, próbując uspokoić się trochę. Oddychał szybko, serce waliło mu jak młotem. Wciąż czuł zapach i dotyk Valentine. Wszystko potoczyło się inaczej, niż sobie wyobrażał. Był zły na siebie. Valentine Smith nie należała do kobiet, które przyjmując zaproszenie na obiad, zgadzają się na wszystko. Ale po prostu nie mógł jej nie pocałować. Cieszył się, że i ona nie pozostała obojętna. Był rozpalony gorączką. Zszedł z werandy. Deszcz i zimny wiatr nieco go orzeźwiły. Tego właśnie potrzebował. Musiał ostudzić rozpalone ciało.

Valentine podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Cierpiała, czuła się winna. Raleigh w deszczu dotarł do samochodu.

Chciała wybiec i zawołać go. Przecież i tak byli już ze sobą. Prawie. Wiedziała, co by się stało, gdyby został. Wciąż czuła ten pocałunek. Musiała mieć trochę czasu, żeby się uspokoić. Jak mogła ulec mu tak łatwo? Ale przecież pragnęła tego; naprawdę, pragnęła go, jak jeszcze nigdy żadnego mężczyzny.

Łudziła się, że Carolyn przejmie pieczę nad wszystkim. Nie wyobrażała sobie, że będzie mogła spojrzeć mu w twarz. Wstydziła się. Najgorsze jednak było to, że pragnęła znowu znaleźć się w ramionach Raleigha Coseegana.

## ***ROZDZIAŁ VI***

Valentine rzuciła się w wir pracy. Chciała nie myśleć o Coseeganie i ich wspólnym wieczorze. Wysiłki te nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Wciąż czuła dotyk jego dłoni i usta płonące żarem namiętności.

Następnego ranka zastanawiała się nerwowo, czy Raleigh przyjdzie do piekarni z listą gości. Minęły jednak trzy dni. Odczuła ulgę i jakby odprężenie. Wtedy przyszedł.

Serce dziewczyny od razu zaczęło bić mocniej. Poczowała, że brakuje jej powietrza. Ubrany w niebieskie dzinsy i koszulę, wydawał się bardziej przystojny niż zwykle.

A może tylko to głupie, walące serce kazało jej myśleć w ten sposób? Wmówiła sobie, że chciałaby pracować z Carolyn. Potem jednak bała się, iż nie ujrzy Raleigha aż do wesela. To byłoby straszne...

Spojrzeni na siebie. Valentine wytarła dłonie wymazane ciastem.

- Dzień dobry - powiedział obojętnym tonem.

- Dzień dobry. - Miała nadzieję, iż nie usłyszy w jej głosie napięcia.

Lucy, która właśnie podnosiła tacę z ciastem, obróciła się, by zobaczyć, kto wszedł do sklepu.

- Ooo, dzień dobry, panie Coseegan - powiedziała z uśmiechem. Spojrzała na Valentine. - Czy mam się panem zająć, panienko?

„To by było najlepsze rozwiązanie” - pomyślała Valentine. Jednak chciała porozmawiać z nim przez chwilę...

- Pan prawdopodobnie w sprawie wesela. Zajmę się tym sama.

- W porządku.



Gdy Valentine zdejmowała fartuch i poprawiała sukienkę, Lucy spojrziała na Raleigha.

- Mamy tu przepyszne, jeszcze ciepłe pączki upieczone przez panienkę Smith, panie Coseegan. Przed chwilą wyciągnęłam je z pieca. Chce pan spróbować?

Uśmiechnął się.

- Z przyjemnością.

Val chciała dostrzec choć trochę zakłopotania czy wstydu na jego twarzy. Ale on, jak zwykle, stał spokojny i pewny siebie.

- A więc poproszę dwa pączki i filiżankę kawy. Przyniosłem listę gości. Czy masz chwilę czasu, Valentine, aby porozmawiać na ten temat?

„Czy on naprawdę tego chce?” - pomyślała. Czy nie wie, jaki ma na nią wpływ? Czy będą mówić tylko na temat wesela? Nie zniosłaby takiej męczarni.

- Oczywiście - powiedziała nieswoim głosem. - Wezmę tylko kawę i pączki dla nas dwojga. Potrzebuję chwili wytchnienia.

Starał się nie wodzić za nią wzrokiem. Czuł się jak nastolatek. Patrząc na nią, marzył o wspólnej nocy. Pragnął głaskać jej jedwabistą skórę, pieścić tak, by płonęła pożądaniem. Oczywiście wyobraźni widział jej biodra poruszające się rytmicznie w miłosnym uniesieniu.

Zamyślił się. Nie zauważył nawet, że podeszła do stolika i postawiła tacę z dwiema filiżankami kawy. Starał się wbić sobie do głowy, że przyszedł tu w interesach i nie może myśleć o niczym innym.

- Pachnie wspaniale! - powiedział. - Jeszcze nie piłem dzisiaj kawy, więc to będzie prawdziwa przyjemność.

- Ja również - odpowiedziała, w napięciu czekając na jego dalsze słowa. Nie wyobrażała sobie tej rozmowy. Oddałaby tysiąc kaw, by rozpocząć dzień jego pocałunkiem. - Zaraz wracam, pójdę tylko po pączki.

W kuchni Lucy zauważyła, że Valentine zachowuje się dziwnie. Położyła jej rękę na ramieniu.

- Panienko Smith, co się stało, złotko?

- Nic, naprawdę nic, Lucy. Tylko nogi mam jak z waty, a żołądek podchodzi mi do gardła. Nic, tylko drzę cała. Nic, tylko Raleigh Coseegan. - Uśmiechnęła się do starszej kobiety i dodała: - Chciałabym, byś mówiła do mnie: Valentine.

Lucy uparcie potrząsnęła głową.

- Nigdy swojego kierownika nie nazywałam po imieniu. To zasada, której trzymam się od lat, a to, że jesteś taka młoda, niczego nie zmienia. - Znowu położyła rękę na ramieniu Val. - Wiem też, że nie powinnam cię tak klepać po ramieniu, ale, moje dziecko, zawsze mi się wydaje, że potrzebujesz kogoś, kto by cię przytulił i pocieszył. Jestem z ciebie dumna, kochanie, jakbyś była moją córką. I chcę, byś wiedziała, że zawsze możesz liczyć na starą Lucy.

Łzy napłynęły do oczu Valentine. Troska i miłość tej kobiety przypomniały jej lata dzieciństwa i dziadka. Tak bardzo tęskniła za nim. Zastanawiała się, czy Lucy wie, co ją tak gnębi. Gdyby mogła powiedzieć jej, jak się czuje w obecności Raleigha Coseegana. Gdyby mogła opisać swój szalony wieczór. Zaczerpnęła powietrza i przymknęła oczy.

- Dziękuję ci, Lucy. Jesteś taka dobra i kochana. Nawet nie wiesz, ile znaczy dla mnie twoja przyjaźń.

- To ten stary, wstrętny pan Carruthers? Znowu pani dokucza?

Valentine roześmiała się głośno. Rozbawiło ją podejrzenie Lucy.

- Tylko mnie chwalił - wyznała. Wybuch śmiechu pozwolił zapomnieć na chwilę o kłopotach. - Dzięki Bogu, że pieniądze... - Słowa utknęły jej w gardle. Wielkie nieba!

Niewiele brakowało, a powiedziałyby o tańcu w restauracji. Rzeczywiście nie potrafiła kłamać i oszukiwać. - Udało mi się zebrać trochę pieniędzy, a resztę oddam w przyszłym miesiącu. Wygląda na to, że wesele Duncanem będzie naszym wybawieniem. - Spojrzała w kierunku Raleigha, który cały czas przyglądał się jej uważnie. Szepnęła cicho do Lucy: - Pan Coseegan powiedział,

że koszty nie grają roli. To wesele będzie niezapomnianym wydarzeniem, i to jest najważniejsze.

- Wspaniale! Idź więc już i zadbaj, by mu niczego nie brakowało.

„Zadbaj o niego?” - powtórzyła w duchu Valentine.

Była przekonana, że to on chętnie by się nią zaopiekował. Uśmiechnęła się. Lucy miała na myśli wyłącznie interesy. Na szczęście nie wiedziała, co wydarzyło się między nimi.

- Słyszałem, że się śmiałaś. Robisz to z takim wdziękiem. Powinnaś śmiać się cały czas.

Napotkała jego wzrok. Znowu te komplementy. Ale przecież czekała na miłe słowa.

- Śmieję się, gdy jest z czego.

Prawdę mówiąc, już dawno nie miała tylu okazji do śmiechu. Ciągłe jednak nie potrafiła czuć się swobodnie i naturalnie w obecności Raleigha. Wciąż zbyt dobrze pamiętała upokorzenie i wstyd przeżyte w Bostonie.

Na wspomnienie tamtych czasów przeszył ją dreszcz.

- Chciałbym, abyś mogła się śmiać dzięki mnie, Valentine. - Wziął ją za rękę.

Wyrywając dłoń, rzuciła wokół trwożliwe spojrzenie. Zdziwiony i zakłopotany, nie wiedział, czy ta kobieta była po prostu zawstydzona, czy też dawała mu do zrozumienia, że nic dla niej nie znaczy. Zacisnął pięści. Do cholery! Zaczynała go obserwować. Znowu poczuł się jak uczeń. Gdyby chociaż nie była taka namiętna wczoraj na werandzie, ale przecież... Potrząsnął głową. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie opierała mu się tak długo. A może to po prostu ostrożność. Nie chciała, by ktokolwiek w sklepie zauważył jego zaloty. Zaśmiał się w duchu. To było najwłaściwsze słowo, jakiego mógł użyć: zaloty. Nie potrafił zdobyć tej cudownej królowej, która broniła dzielnic dostępu do swej wieży. Nie rozumiał tylko, dlaczego. Miał wrażenie, że nie jest taka nieśmiała i że nie drażni się z nim bez powodu.

- Przepraszam - powiedział - ale nie potrafię się przed tym powstrzymać.

Proszę nie wyrzucać mnie ze sklepu.

Valentine, wyobrażając sobie taką sytuację, wybuchnęła śmiechem.

- Rozumiem, że masz listę gości.

- Jeśli się uśmiechniesz jeszcze raz, to mam.

- Raleigh, jesteś niepoprawny!

- Ja? Raleigh Coseegan? O nie! Wszyscy, ale nie ja!

- Tak, ty. Nie możesz pracować z kobietą, jakąkolwiek kobietą, bo od razu starasz się ją uwieść.

- Uwieść? - wyszeptał. - Och, to brzmi interesująco! Czy są jakieś szanse? Bo jeśli chodzi o mnie, jestem gotowy.

Spojrzała na niego i drżącą dłonią podniosła filiżankę. Gorąca kawa uspokoiła ją nieco. Za bardzo bała się tego mężczyzny, by pozwolić mu na...

- Więc co będzie z tą listą gości? Masz ją, czy nie?

Wyciągając kartkę z kieszeni, zauważył, że trzęsą mu się ręce. Znow poczuł, że traci to, co zdobył. Jeszcze przed minutą myślał, iż lody zostały przełamane, ale teraz ten zimny, rzeczowy ton sprowadził go na ziemię.

Do diabła! Przecież nie mógł zostać w tym małym miasteczku zbyt długo. Za późno było, by wycofać się z powierzonego mu zadania. To, o czym aktualnie pisał, miało zbyt duże znaczenie dla rządu pewnego państwa. Rząd ten mógł uwolnić bardzo ważnego więźnia politycznego. A przecież nie opowie o tym wszystkim Valentine. Tajemnica zawodowa. Zaangażował się w tę sprawę, zanim poznał dziewczynę. Jego zawód nie jest przecież najlepszy dla żonatego mężczyzny. Żonatego? To słowo tak dziwnie na niego działało. Od pierwszej chwili, gdy zobaczył Valentine, myśl o małżeństwie nie dawała mu spokoju.

Co zrobić? Czy jest w stanie przełamać jej opór? A jeśli tak, czy to uczciwe wobec niej? Ta kobieta zawróciła mu w głowie. Cały czas myślał tylko o niej. Posuwał się do przodu tak powoli. Nie była osobą, która lubi pośpiech. Musiał być niezwykle ostrożny, by jej nie zranić.

Jednak jeśli wyjedzie teraz na kilka tygodni na Wschód, straci ją na zawsze. Nie mógł przecież zdradzić tajemnicy swojej misji. Zdawał sobie z tego sprawę.

A może małżeństwo nie było dla niego? Jak zareaguje Val, gdy powie jej, że musi wyjechać na pewien czas? Domyślał się, że w przeszłości jakiś mężczyzna zranił ją boleśnie, nie chciał więc, by znowu to przeżyła. Och, dlaczego tak trudno podjąć tę decyzję! Niezdecydowanie to chyba najlepszy dowód na to, że pora kończyć zawodową karierę.

- Oto lista gości - powiedział z uśmiechem. - Dostyc długa.

Nie kłamał. Na kartce, oprócz wcześniej zaproszonych gości, widniał napis: „Zaproszenia otwarte dla wszystkich, którzy dbają o restaurację”.

- Raleigh, chyba żartujesz?! Jeśli to prawda, muszę już zacząć przygotowania. Pani Carolyn mówiła mi ostatnio o dwustu osobach.

- Dasz sobie radę - powiedział spokojnie. - Carolyn, Tod i ja dyskutowaliśmy wczoraj na ten temat. To prawda, początkowo chcieliśmy zaprosić tylko niektórych ludzi. Jednak moja siostra chce pokazać wszystkim w mieście, jak bardzo ceni sobie ich poparcie i opiekę.

Valentine wciąż patrzyła na niego oszołomionym wzrokiem, mówił więc dalej:

- Wiem, że to trochę niezwykle, ale zadecydowaliśmy, iż każdy mieszkaniec tego miasta może przyjść na wesele. Na szczęście przyjęcie odbędzie się w parku, a poza tym nie zjawia się przecież wszyscy.

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała, próbując wyobrazić sobie te tłumy. - Chyba nie wiecie, ilu ludzi liczy nasza miejscowość. Około jedenastu tysięcy. A restauracja Duncanów jest znana w okolicy.

- Oczywiście nie przyjdzie jedenaście tysięcy, ale na kilkaset osób trzeba liczyć. - Roześmiał się.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Jestem zaszczycona i dumna, że twoja rodzina na mnie liczy, ale przecież ja mam tylko małą piekarnię! Mogę oczywiście poprosić kogoś o pomoc, ale to wciąż będzie...

Tym razem Raleigh nie mógł się powstrzymać i uścisnął jej dłoń.

- Posłuchaj mnie, Valentine. Wiem, że to trudne zadanie, ale wszyscy będziemy nad nim pracować. Klub gospodyń zaoferował swą pomoc w pieczeniu ciast i przygotowywaniu napojów. Ku zadowoleniu mojej siostry miejscowa ludność wydaje się bardzo podekscytowana tym wydarzeniem.

- Raleigh, to wciąż... - Nawet nie zdawała sobie sprawy, że trzyma ją za rękę. Myślała tylko o jednym: o tym, że nie jest w stanie tego dokonać.

- Posłuchaj, Val, Carolyn i Tod przygotowują część jedzenia w restauracji. Maria chce zrobić desery. Swoje usługi zaoferował jeden z dostawców napoi chłodzących. Jeśli tylko się uspokoisz i zbierzesz siły, dasz radę. A efekt będzie niesamowity. Zobaczysz. To brzmi trochę niewiarygodnie, ale uwierz mi. Uczestniczyłem w weselach, na których było więcej gości niż ludzi w tym mieście. Zorganizujemy razem niezwykle, bajkowy bal.

Wierzyła w te słowa. Patrząc w jego ciemne, spokojne oczy, powoli uspakajała się. Ręce przestały jej drżeć. Nagle zdała sobie sprawę, że ich dłonie łączy gorący uścisk.

- Przepraszam - powiedziała, szybko uwalniając się.

- Ja nie. Rozkosznie było czuć ciepło twoich dłoni.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Odczuwała to samo, jednak nie chciała ulec namiętności.

- Raleigh - zaczęła, próbując pozbiierać myśli i opanować bicie serca. - Nie prowadzę zbyt długo piekarni i choć wiem, że to dla mnie wspaniała okazja, obawiam się, iż nie dam rady. Chciałabym, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Doceniam twoje zainteresowanie i pomoc, którą mi oferujesz, ale nie chcę... - zawahała się, wiedziała, że teraz

skłamię. - Nie chcę, abyś się mną interesował. Od samego początku pragnęłam, byś zrozumiał, że mamy razem tylko pracować. To interes, nic więcej.

Po raz kolejny zaskoczony jej reakcją, zdał sobie sprawę, że przecież zawsze była z nim szczerą, a on nie ma do niej żadnego prawa. Odpowiedział więc krótko:

- Rozumiem doskonale, moja damo!

Przejechał dłonią jasne, kręcone włosy.

Dopiero teraz Valentine zauważyła małą, wąską szramę na jego twarzy.

- Raleigh - szepnęła.

Nie wiedziała dokładnie, co chce powiedzieć.

Spojrzał na nią groźnie. Jeszcze chwila i powie, że zna tajemnicę tancerki Angeliny i dobrze pamięta, co znaczy słowo „nie” Czuł jednak, że nie mówiła prawdy. Kobieta, która całowała się z nim tak namiętnie, nie mogła udawać. Wiedział, że jeśli nawet chciała się przed nim bronić, kosztowało ją to wiele wysiłku. Trzeba więc tylko trochę cierpliwości i czasu, by przełamać jej strach i obawy.

Cierpliwość nie stanowiła jednak jego mocnej strony. Śmiały, żyjący w pośpiechu, przyzwyczajony do brania tego, na co ma ochotę, czuł się teraz bezsilny. Co prawda, to nie reportaż czy opowiadanie. Była kobietą delikatną, którą mógł łatwo zranić. Pragnęła sukcesu dla swojej firmy; nie chciała angażować się w ich związek z sobie tylko znanego powodu, którego korzenie sięgały przeszłości. Wiedział jedno: ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa.

Westchnął i spojrzał prosto w jej niebieskie oczy. Może rzeczywiście obawiała się, iż on pod pozorem współpracy zechce ją wykorzystać? Może stary Carruthers tak bardzo utkwiał jej w pamięci?

- Valentine, wiesz dobrze, że bardzo mi się podobasz - powiedział szczerze. - Nie chcę się tobą bawić ani cię wykorzystać. Zaproponowałem pomoc mojej siostrze zupełnie przypadkiem i nie miałem pojęcia, że w ten

sposób się spotkamy. Ale gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wiedziałem, iż będę chciał poznać się bliżej. Nie możesz mnie za to winić.

Odwróciła się z nadzieją, że Raleigh nie zauważy jej rumieńców.

Pierwszy raz zobaczył ją na scenie i śmiał się wtedy. Czy to miała na myśli? Nim zdążyła zareagować, mówił dalej.

- Nie sądzę, by zaproszenie na obiad było czymś niewybaczalnym.

Chciałem wyciągnąć cię z pracy, nie mam jednak zamiaru narzucać ci się. -

Przerwał na moment. - Ten ślub nie ma tu nic do rzeczy. Bez względu na to, co zajdzie między nami, robota musi być wykonana. Cóż, może jestem głupi i naiwny, ale kiedy całowaliśmy się tamtego wieczoru, wydawało mi się, że coś dla ciebie znaczę.

Spojrzała na zimną już kawę. Była mu wdzięczna za szczerość. Czowała, że powinna zdradzić kilka tajemnic z przeszłości. Musi opowiedzieć przynajmniej o tej historii z bostońskiego banku, a może i więcej... Nie podnosząc wzroku, zaczęła mówić: o Bradym i banku, o tym, że obawiała się skandalu i jak bardzo zależy jej teraz na pracy. Po tej spowiedzi spojrzała na niego.

- Wiem, że ci się podobam, ale nie chcę być tylko zabawką. Ty wyjedziesz i zostawisz mnie samą. Nie zniosłabym plotek.

Raleigh czuł, że rośnie w nim napięcie. Zabiłby tego Brady'ego za to, co zrobił tej kobiecie. Nie potrafił jednak teraz jej odpowiedzieć. Chciał być z nią uczciwy, ale przecież nie wiedział, jaka czeka go przyszłość. Nerwowo bawił się filizanką.

- Źle mnie oceniasz - odparł w końcu. - Po pierwsze, polubiłem to miasto. Jest ono dla mnie niezwykłym odkryciem. Do tej pory miałem do czynienia tylko z wojnami i tragediami. Teraz rozglądam się zupełnie poważnie za spokojnym miejscem, gdzie mógłbym opisać wszystkie swoje przeżycia. Z pewnością wyjdzie z tego całkiem niezła powieść. To małe miasteczko wydaje się wymarzonym miejscem. - Spojrzał przed siebie. - Nie wiem, czy potrafię się ustatkować. Całe moje dotychczasowe życie to samotność i włóczęga po



świecie. Ale wciąż odkrywam w sobie nowe możliwości, szczególnie gdy poznałem ciebie, Valentine. Przysięgam, że to prawda. Wywarłaś na mnie niezwykle wrażenie.

- Raleigh... - przerwała mu nagle, czując, że musi powiedzieć o ostatniej tajemnicy: o tańcu brzucha.

Położył jej palec na ustach.

- Nie, proszę, zostawmy przeszłość. Zajmijmy się teraźniejszością. Czy nie moglibyśmy zostać przynajmniej przyjaciółmi?

Słuchała z przejęciem. Podświadomie broniła się przed jego słowami. Ale przecież pojawił się w jej życiu akurat wtedy, gdy potrzebowała opieki i uznania. Nie zdawała sobie sprawy z krzywdy, jaką wyrządził jej Brady; nadal przeżywała ich zerwanie. Dopiero Raleigh uświadomił jej to. Ale czy to on był mężczyzną, którego potrzebowała? Czy potrafił się ustatkować? Wiedziała, że jest z nią zupełnie szczerzy. Czy powinna mu zaufać? Czy mogła oddać swoje serce takiemu człowiekowi?

Spojrzała w jego ciemne oczy. Chciała, chciała... Ale czy możliwe, by stał się cud, czy możliwe było ich wspólne życie?

Znali się przecież niecały tydzień, a mimo to czuła, że poszłaby za nim wszędzie. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna tak na nią nie działał. Jak mogła więc odmówić jego prośbie?

Czując się jakby robiła wielki krok naprzód, kiwnęła głową.

- Przyjaciółmi - powiedziała w końcu. - Ale, jak to kiedyś powiedziałeś, jestem damą z Południa, więc nie lubię pośpiechu. - To była następna próba obrony przed miłością.

Raleigh westchnął z ulgą. Och, niech będą chociaż przyjaciółmi! Wiedział, że bez przyjaźni nie ma niczego między mężczyzną i kobietą, pragnął jednak znacznie więcej. Jego śmiała natura wykształciła niezwykłą zdolność szybkiego oceniania sytuacji i wychodzenia naprzeciw trudnościom. Ale

Valentine Smith nie była taką „sytuacją”. Nie można jej było przeanalizować i ocenić.

- Dziękuję. Nie jestem taki zły, na jakiego wyglądam, zobaczysz!

- Wiem - powiedziała szeptem.

„On i zły, to niemożliwe - pomyślała. - To wspaniały i niezwykły mężczyzna”.

- Obiecuję ci tu i teraz, Valentine, że nie pożałujesz swojej decyzji i nigdy się na mnie nie zawiedziesz. Musisz również wiedzieć, iż nie jesteś dla mnie zabawką, raczej moim szaleństwem. Żadna kobieta nie zawróciła mi tak w głowie. Uwierz!

Uśmiechnęła się. Jeszcze przed chwilą myślała, że podjęła właściwą decyzję, teraz nie była już tego taka pewna. Wciąż zastanawiała się, czy to przypadkiem jej niedostępność nie pociągała go najbardziej. Czy nie stanowiła po prostu odmiany w jego życiu? Była przecież zwykłą kobietą, czemu więc tak się nią interesował? Poza tym nie mogła zapomnieć tamtego wieczoru, gdy stojąc przed garderobą, śmiał się z niej. Postanowiła wyznać prawdę o Angelinie, ale... Przecież przed chwilą wszystko sobie powiedzieli. Więc jeśli on domyślałby się czegokolwiek, wspomniałby o tym. I tak wie więcej, niż powinien.

Poprawiła włosy i spojrzała na listę gości. Znowu poczuła się zagrożona, i to nie tylko z powodu niewiarygodnie dużej liczby zaproszonych. To on był źródłem jej niepokoju. Przeczynała, że może ją zranić o wiele bardziej niż Brady. Bała się myśleć o przyszłości.

## ***ROZDZIAŁ VII***

- Cóż, zdaję sobie sprawę, że nie znasz tych okolic dużo lepiej ode mnie, ale i tak możesz mi pomóc, przyjaciółko.

- Ja?

- Nie patrz na mnie tak, jakbym kazał ci włożyć głowę pod topór, Valentine.

Niestety, tak właśnie się poczuła.

- W czym mogę ci pomóc?

- Chcę podarować Randolphowi i Mimmi dom w prezencie ślubnym.

Wiem, że chłopak uwielbia miejsce zwane Górkim Jeziolem Smithe'a.

Zaniemówiła z wrażenia. Zastanawiała się, czy nie powinna poinformować Raleigha, jak drogi jest tam każdy metr ziemi, a co dopiero dom.

- Byłam tam tylko raz - powiedziała z uśmiechem. - Ale umiem czytać mapę, podobnie jak i ty, podróżniku.

- Nie w tym leży problem. Potrzebuję kobiecej duszy. Nigdy w życiu nie kupowałem domu. Moją przystanią był zawsze Nowy Jork, gdzie mam mieszkanie. Ale bywam tam niezwykle rzadko. Większość życia spędziłem w hotelach, samolotach i pociągach.

- Biedne dziecko: co za marny los.

- Żebyś wiedziała. Takie latanie odrzutowcami jest niezdrowe dla organizmu.

Spojrzała na silnego, dobrze zbudowanego mężczyznę. „Gdyby odrzutowce miały taki wpływ, prawdopodobnie wszyscy by nimi latali” - pomyślała.

- Więc pomożesz mi? Czy jutro po skończeniu pracy pojechałabyś ze mną?

Ocknęła się z zamyślenia.

- Co? Aha, dom... tak! - odpowiedziała szybko. - Pojadę z tobą obejrzeć domy, ale uprzedzam cię, że nie jestem ekspertem. W swoim życiu tylko raz dokonałam tak ważnej transakcji - kupiłam mój domek, ale i tak o wyborze zadecydowały względy praktyczne. Był blisko sklepu.

- Wydawał mi się bardzo miły i przytulny. Myślę, że Randolph i Mimmi byliby zadowoleni z podobnego. I pamiętaj, pieniądze są naprawdę nieistotne. - Zaśmiał się. - Nie chcę wcale, żebyś myślała, że jestem bardzo bogaty, ponieważ...

- Jak zwykle pewny siebie! W ogóle nie obchodzą mnie twoje pieniądze, panie Coseegan. Mam własne.

Uśmiechnął się.

- Własne, własne, własne... Chcesz być niezależna ze wszelką cenę? Co za charakter! Ale nie denerwuj się, powiedziałem to dla żartu.

- Chyba weszło ci to w krew.

Sama nie wiedziała, dlaczego jest zła na niego. Czyżby dlatego, że mówi o swoich pieniądzach, że wymawia jej niezależność? Przecież nie ma w tym nic złego.

- Chyba zapomniałaś już, Valentine, że obiecałaś nie nazywać mnie więcej panem Coseeganem i nie denerwować się z powodu pieniędzy. - Uśmiechnął się. - Kocham kobiety uczuciowe i z temperamentem, ale nie wtedy, gdy wyładowują się na mnie bez powodu.

Valentine wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się, że ty po prostu kochasz kobiety. Postaram się nie zwracać na to uwagi.

- Zaraz, chwileczkę oburzył się. Nie powiedziałem, byś nie reagowała na moje zachowanie. - Chwyił jej dłoń. - Mówiąc szczerze, moja damo, odpowiedziałaś cudownie na mój pocałunek tamtej nocy.

- Raleigh! - Spojrzała na niego groźnie. Jej twarz oblała się rumieńcem. - Przecież mieliśmy być tylko przyjaciółmi, pamiętasz?

- Oczywiście, że tak - wyszeptał. - Ale są rzeczy, których mężczyzna nie może wymazać z pamięci. Twój pocałunek właśnie do nich należy.

Wstała, złożyła listę gości i wsunęła ją do kieszeni fartucha.

- Jestem niezwykle zajęta. Muszę wracać do pracy. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, ilu klientów już przyszło!

Zanim zdążyła uciec, złapał ją za rękę.

- Jutro o piątej tutaj.

Kiwnęła głową i pobiegła do kuchni. Zaczekała, aż Raleigh wyjdzie, po czym podeszła do okna. Uśmiechnęła się do siebie. Jej pocałunek wywarł na nim takie wrażenie!

Wróciła do stolika, przy którym przed chwilą siedzieli. Oboje zaledwie spróbowali kawy. Pączki leżały w ogóle nie ruszone. Raleigh zostawił pięć dolarów na stole. Podniosła pieniądze. Jutro zwróci mu je i powie kilka słów na temat pączków.

Dzień dłużył się Valentine okropnie. Cały czas myślała o porannej rozmowie. Zainteresowanie Raleigha podniecało ją i jednocześnie napawało lękiem. Z niecierpliwością czekała na wyprawę do Górskiego Jeziora Smithe'a.

Ilekcroć rozmawiała z Lucy na temat wesela, stawała się coraz bardziej podekscytowana. Miała wiele ciekawych pomysłów, które mogły uczynić to wydarzenie niesamowitym nie tylko dla panny młodej czy pana młodego, ale także dla miasta i dla niej samej. Zdawała sobie sprawę, iż to na niej właśnie spoczywa ogromna odpowiedzialność, bowiem przygotowanie stołu na tak wielką uroczystość nie było sprawą bagatelną. Coraz częściej myślała też o Raleighu Coseeganie.

Dochodziła piąta, Valentine była zupełnie nie przygotowana. Dziewczyna miała na sobie dzinsy i koszulę.

Żałowała, że nie umówili się u niej w domu; czuła potrzebę kąpieli i chwili odpoczynku. Rozpuściła długie, złote włosy i przejrzała się w lustrze. Chciałaby wyglądać jak te wszystkie kobiety, które Raleigh poznał do tej pory.

Na pewno były piękne i dobrze ubrane. Potrząsnęła głową, jakby odpędzając uparte myśli.

Przecież wcale tego nie pragnie! Ma własne, nowe życie, a okropne bostońskie czasy już nie wrócą. Praca w sklepie sprawia jej więcej satysfakcji, niż się spodziewała, a życie w tym mieście daje jej poczucie bezpieczeństwa. Była zadowolona z tego, co osiągnęła. Nie pragnęła żadnych zmian.

Gdy rozległ się dzwonek przy frontowych drzwiach, drgnęła przestraszona. Przezornie zamknęła je przed piątą, aby żaden spóźniony klient jej nie przeszkadzał. Lucy poszła już do domu, nie miała więc wątpliwości, że to Coseegan.

Po raz ostatni przejrzała się w lustrze. Była gotowa. Zbliżając się do wejścia, czuła, że jej puls gwałtownie przyspiesza. Raleigh stał po drugiej stronie oszklonych drzwi i uśmiechał się do niej. Szklana bariera dawała jej jeszcze chwilę na złapanie oddechu.

Och, był taki przystojny! Dzisiaj miał na sobie wąskie dżinsy i zieloną, wojskową koszulę, której krój podkreślał jego muskularną budowę. Serce dziewczyny biło jak oszałałe.

Pokazał jej gestami, że drzwi są zamknięte.

Uśmiechnęła się nerwowo.

„Zupełnie tracę głowę - pomyślała. - Gapię się na niego jak sroka w kość”.

- Przepraszam - powiedziała, gdy wreszcie wpuściła go do środka.

- Musiałaś zapomnieć, że są zamknięte.

- Byłam w łazience i przebierałam się. Nie sądziłam, żebyś chciał zobaczyć mnie w roboczym ubraniu.

- Jestem przekonany, że we wszystkim wyglądasz wspaniale. A te dżinsy! No, no, no. - Spojrzał na nią uważnie.

Nie było to nieprzyjemne. Wręcz przeciwnie: poczuła, że dreszcz podniecenia przeszył jej ciało.

- Jedziemy na spotkanie z pośrednikiem i prawdopodobnie niektóre domy będziemy oglądali z łodzi, ponieważ widok od strony jeziora oddaje lepiej ich charakter.

- Żartujesz?! Czy ty naprawdę masz zamiar kupić tam posiadłość?

- Właśnie to chcę zrobić. Spojrzała w jego ciemne oczy.

- Wiedziałam, że tak się skończy. Co jeszcze dzisiaj wymyślisz? Samolot, a może łódź podwodną? Zrozum, Raleigh, myślałam, że pójdziemy na spacer, rozejrzeć się tylko. Miałam ci doradzić i spojrzeć na to kobiecym okiem. Taka była umowa.

- Jak mogłem zapomnieć? - Wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

- Przestań! - powiedziała Val urażona.

- Ależ, przyjaciółko moja, wyglądasz dziś po prostu niezwykle pięknie. - Poglądził jej włosy. - Czy to nie ten nowy styl uczesania, o którym słyszałem?

- W żadnym wypadku. Tak po prostu wyglądają moje włosy, gdy po całym dniu pracy w kuchni rozpuszczę je i nie zdążę umyć ani uczesać.

- Och! - udawał zmartwionego. - Lepiej już jedźmy, zanim popełnię kolejną gafę. Poza tym jesteśmy umówieni z pośrednikiem. Cieszę się, iż zobaczymy teren z łodzi. Gotowa?

Kiwnęła głową. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie zdolna pokochać tego mężczyznę. To prawda, był pociągający, niezwykły, ale jednocześnie... Na szczęście nie jadą sami. Ten pośrednik to prawdopodobnie kobieta. Tak, Raleigh lubił otaczać się kobietami.

Gdy dotarli do samochodu, wyjęła z portfela pięciodolarowy banknot.

- A to co? - zapytał. - Val, proszę! Nie musisz mi płacić za towarzystwo, robię to z przyjemnością! A jeśli już nie możesz się powstrzymać... Wydaje mi się, że pięć dolarów to skromna sumka, nie sądzisz?

Roześmiała się.

- Jesteś szalony! Jesteś niemożliwy wariat! Gdybym płaciła ci za towarzystwo, nie dostałbyś nawet dwóch centów!

- Specjalnie próbujesz mnie zranić. - Spojrzał na nią, udając przygnębionego. - Dwa centy! Wiem, że się starzeję, ale, kobieto, nie jest jeszcze ze mną tak źle!

- Przestań, proszę. Zostawiłeś te pieniądze wczoraj na stole. Kawa i pączki nie są takie drogie, a poza tym byłeś gościem. A jeśli już mówimy o urażonych uczuciach, nawet nie spróbowałeś moich ciastek! Czy mam rozumieć, że ci nie smakowały? Wiesz, ile serca wkładam w swoją pracę?

Tym razem Raleigh nie powstrzymał śmiechu. Otworzył przed nią drzwi.

- Jeśli chodzi o te pączki... - zaczął. Sięgnął po pas bezpieczeństwa. Zadrżała z podniecenia.

- Prawdę mówiąc, moja damo, twój widok i myśl, że każdym słowem mogę cię urazić, spowodowały, iż nawet ich nie zauważyłem. Oczywiście, nie przyjmuję pięciu dolarów. Nie wątpię, że pączki były niezwykle. Jednak ty przesłoniłaś mi cały świat.

Po tych słowach, nim Valentine zdążyła się zorientować, pocałował ją delikatnie w usta. Ach, to było wspaniałe! Ten mężczyzna miał w sobie coś. Nie wiedziała, jak przeżyje tę wyprawę. Serce waliło jej w piersiach, drżała. Zdawała sobie sprawę z tego, że komplementy to jego specjalność. Trudno jednak było mu się oprzeć. Tak trudno.

Droga do Górskiego Jeziora Smithe'a wiła się między zielonymi wzgórzami. Baśniowa sceneria i szybka jazda rozluźniły nieco atmosferę napięcia, którą wywołał krótki pocałunek. Valentine czuła, że jej usta wciąż są rozpalone. Gdy mówiła coś do Raleigha, starała się patrzeć przed siebie. Każdy nowy zakręt przynosił piękniejszy widok, każde wzgórze zachwycało potęgą przyrody.

- Tu jest rzeczywiście cudownie. Rozumiem teraz, dlaczego Randolpha urzekła ta okolica.

- Czy wie, że dostanie od ciebie w prezencie ślubnym dom?



- Nie! To tajemnica i nie zdradź jej nikomu. Nawet Carolyn i Tod nic nie wiedzą. Dlatego cieszę się niezmiernie, że możesz mi pomóc. Nie mam pojęcia, o jakim domu marzy młoda kobieta.

- Cóż, to zależy od kobiety.

- To prawda, ale sądząc po wystroju twojego sklepu, masz dobry gust. Spodobał się jej ten komplement. Czy on zawsze musiał trafiać w czuły punkt?

- Skąd wiesz, że to ja go dekorowałam? - zapytała zadziornie.

- Bo tylko ty mogłaś zrobić to tak pięknie. Twój sklep jest w słonecznych kolorach, czysty i świeży. Sądzę, że klienci czują się wspaniale nie tylko z powodu pięknych zapachów z piekarni, ale głównie pod wpływem tej domowej i serdecznej atmosfery. To ty urządziłaś swój sklep, prawda?

- Tak. - Zawsze uważała, że ciepła, serdeczna atmosfera powinna gościć wszędzie: w sklepie i w domu.

- Masz talent, Valentine. Nienawidzę tych sterylnych, zimnych pomieszczeń. Zawsze chcę wydostać się z nich jak najszybciej. Ale twój to co innego, spodobał mi się od pierwszej chwili.

- Dziękuję. - Postanowiła zmienić temat. Komplementy były miłe, ale strasznie zawstydzaly. - Musisz koniecznie przyjechać tu jesienią, gdy liście zmieniają barwę. Jest tu wtedy jeszcze piękniej.

- Wyobrażam sobie.

Była zajęta obserwowaniem okolicy, jednak gdy tylko poczuła na sobie spojrzenie Raleigha, jej serce znów zaczęło bić mocniej. Och, dlaczego ten mężczyzna ma na nią taki wpływ? Samochód wydawał się zbyt mały, by pomieścić ich dwoje. Odetchnęła z ulgą, gdy zatrzymali się przed niewielkim biurem pośrednika.

- Janie pokaże nam okolicę - powiedział, wysiadając z samochodu.

Poczekala, aż otworzy jej drzwi. Wiedziała, że jego dotyk wywoła znów ten przyjemny dreszcz. Nie pomyliła się.

Atrakcyjna, czarnowłosa, trzydziestoletnia kobieta czekała już na nich.

- Pan jest z pewnością Raleighem Coseeganem! - powiedziała wylewnie i ciepło. - W samą porę. Nie miał pan chyba problemów z odszukaniem mojego biura, prawda?

Raleigh wypchnął Valentine trochę do przodu.

- Miałem świetną przewodniczkę. Chcę, by mi doradziła. Poznajcie się: Janie Rossman, przedstawiam ci Valentine Smith.

Kobieta uśmiechnęła się sympatycznie. Val znowu miała podobne odczucia jak we włoskiej restauracji, gdy poznała Genę. Podejrzewała, iż Janie wolałaby, żeby Raleigh przyjechał sam, bez niej.

- Miło mi cię poznać. Wyciągnęła rękę do Valentine; dłoń Raleigha przytrzymała nieco dłużej. - Jestem zaszczyczona, że przywiozłeś fachowca. Niemniej kilkakrotnie rozmawialiśmy przez telefon i zapewniłam cię, że zrobię, co w mojej mocy. Płacisz mi przecież za to. Jak do tej pory, nikt jeszcze nie był rozczarowany. - Spojrzała na niego z błyskiem w oku. - Nie mogłam się doczekać naszego spotkania. Przeczytałam kilka twoich ostatnich artykułów.

- Jestem pewien, że i tym razem nikogo nie rozczarujesz - powiedział, jakby nie dostrzegając jej złości. Spodziewała się, że przyjedzie sam. Dawała to wyraźnie do zrozumienia.

Valentine spojrzała na zgrabną brunetkę. Zastanawiała się, czy przypadkiem Raleigh nie żałuje, iż wziął ją ze sobą.

Chwycił Val za rękę, jakby czytał w jej myślach.

- Jesteśmy gotowi oglądać domy, jeśli ty jesteś gotowa nam je pokazać - powiedział spokojnie, ignorując pochlebstwa i zainteresowanie Janie.

- W porządku. Wezmę tylko pieniądze i notes. Mam zanotowanych kilka miejsc, które powinniśmy obejrzeć! - Gdy zamknęła biuro i zaprowadziła ich do dużego cadillaca, zaproponowała: - Może usiądziesz z przodu, Raleigh. Jako potencjalny kupiec będziesz miał lepszy widok.

- Dziękuję, ale wydaje mi się, że Valentine będzie wygodniej z przodu.

- Jak sobie życzysz - odpowiedziała z uśmiechem Janie.

Valentine nie podzielała jej entuzjazmu. Westchnęła. Nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma to zabawne przedstawienie. Nie mogła znieść flirtu między Janie i Raleighem. Nie chciała o tym myśleć. To zbyt śmieszne i niebezpieczne zarazem!

Gdy w końcu zajęli miejsca w samochodzie, pośredniczka poinformowała:

- Oczywiście, ceny domów na tym obszarze są bardzo różne. Wybrałam sześć spośród tych, które odpowiadają twoim wymaganiom. Jeśli okaże się, że żaden ci się nie spodoba, będziemy oglądali następne.

- W porządku. Jestem pewien, że coś wybierzemy. Valentine i ja pokochaliśmy to miejsce; stwierdziliśmy, iż życie tu byłoby cudowne.

Janie spojrzała zdziwiona na dziewczynę. Val poczuła się zmieszana. Już pokochali to miejsce! Przedstawił sprawę tak, jakby to oni mieli tu zamieszkać, a nie Randolph i Mimmi.

- Czy ty również chcesz kupić tu dom? - zapytała Janie, zwracając się do Valentine.

- Nie, oczywiście, że nie. Przyjechałam tu tylko na spacer z Raleighem.

- Nie daj się nabrać, Janie. To ona wybierze dom, nie ja.

- Raleigh, przecież ja w ogóle nie znani Randolpha i Mimmi.

- Jestem pewien, że zrobisz to wyśmienicie. Na pewno wszyscy będą zadowoleni.

Odwróciła się. Czowała piekące rumieńce na policzkach. Zastanawiała się, czy to nie kpiny. Ale przecież mówił tak poważnie.

Niestety, już niedługo mieli się przekonać, że Valentine nie będzie zbyt pomocna. Janie pokazała im na początku trzy domy, które nie leżały bezpośrednio nad wodą. Val wszystkie wydawały się idealne. Nie potrafiła dokonać wyboru.

- Nie pomagasz za bardzo - żartował Raleigh, kiedy zachwycała się trzecim, podobnie jak dwoma poprzednimi.

- Wybacz, ale one są takie piękne.

- Cóż, zobaczymy, co jeszcze pokaże nam

Janie. Po prostu wybierzemy ten, który spodoba ci się najbardziej.

- Ostrzegałam cię - powiedziała, gdy wrócili do samochodu. - To ty będziesz musiał podjąć decyzję. Ja czuję się jak w piekarni, gdzie wszystko jest apetyczne i smaczne.

Roześmiał się, gdyż jemu tylko ona wydawała się takim przysmakiem. Porównywał ją do Janie, która była spokojna i opanowana. Val rozglądała się z zaciekawioną, z błyskiem w oku, jak szczęśliwe dziecko w sklepie z zabawkami.

Domy były rzeczywiście ładne i dokonanie wyboru stanowiło nie lada trudność. Zależało mu jednak, by to Valentine zdecydowała. Obserwował, jak wahała się zajrzeć do kolejnego pokoju. W końcu przekraczała jego próg i podbiegała do okien. Miała w sobie tyle świeżej radości.

W końcu dojechali do przystani, gdzie przesiedli się na łódź. Wiatr rozwiewał włosy dziewczyny, a uśmiech wciąż gościł na jej twarzy.

Gdy wracali już do zatoczki, ich oczom ukazał się śliczny, dwupiętrowy domek ze spadzistym dachem.

- Och! To jest to, Raleigh. Ten jest najpiękniejszy! - krzyknęła Valentine.

- Od razu mam podpisać umowę, czy może chciałabyś obejrzeć go z bliska?

Val wydawało się, że nie traktuje jej poważnie, ale gdy zobaczyła jego minę, od razu zmieniła zdanie.

- Oczywiście. Nigdy nie kupuję niczego w ciemno. Ja tylko... - Nie potrafiła tego powiedzieć. Po prostu ten dom od razu się jej spodobał. Nie musiała oglądać go z bliska, by podjąć decyzję. Czowała, iż słowa i tak by niczego nie wyjaśniły. Milczała więc.

- Rozumiem cię. Myślę, że wybrałabyś go nawet bez wchodzenia do środka.

- Niektórzy wyczuwają takie rzeczy - wtrąciła Janie. - Od razu czują związek z tym, a nie innym domem. Wiele posiadłości sprzedalam, pokazując jedynie ich fotografie.

Valentine była wdzięczna za tę kobiecą solidarność, bez względu na to, czy Janie mówiła prawdę, czy też próbowała po prostu dobić targu.

- Cóż, sprawdzimy, czy nie zmienisz zdania po bliższych oględzinach.

Przyrzekła sobie, że nie będzie wzdychała, gdy dotrą na miejsce, ale kiedy Janie otworzyła drzwi, nie mogła się powstrzymać. Ten domek był taki śliczny! Przechodziła z pokoju do pokoju coraz bardziej podekscytowana. Raleigh przyglądał się jej z zadowoleniem. Janie, odkąd zrozumiała, że to Valentine podejmie decyzję o kupnie, nie sprzeciwiała się.

- Kupujemy ten dom. Moja dama jest zachwycona.

- Raleigh, przecież nie wiem, czy Randolph i Mimmi będą z niego zadowoleni.

- Twoja opinia jest dla mnie najważniejsza. Poza tym, jeśli nie będzie się im podobał, zawsze mogą go sprzedać.

- To prawda - zgodziła się Janie, zadowolona z transakcji.

- Czy nie powinniśmy zobaczyć jeszcze innych?

- Oczywiście. To na pewno będzie interesujące, ale kupuję ten dom.

Kobiety spojrzały na siebie. Val nie wiedziała, co o tym sądzi Janie, ale jej zrobiło się słabo.

Po co Raleigh chciał oglądać następne domy, skoro już zdecydował się na ten? Czyżby szukał również czegoś dla siebie? Czy rzeczywiście nie żartował, mówiąc, że chce osiaść w spokojnej okolicy? I dlaczego pozwolił jej zadecydować o kupnie?

Potrząsnęła głową. Była przewrażliwiona.

## ***ROZDZIAŁ VIII***

Janie pokazała im jeszcze kilka domów, ale Valentine czuła, że ten, który wybrała, był najlepszy. Raleigh wciąż zadawał jej to samo pytanie: W którym chciałyby zamieszkać?

Już wiedziała... była przekonana, że jej wybór spodoba się również młodej parze. Podziwiała hojność Raleigha. Podejrzewała, że ani rodziny Randolpha, ani tym bardziej rodziny Mimmi, nie byłoby stać na taki wydatek.

- Są jeszcze inne, piękne miejsca. Mogę wam pokazać. Wysoki głos Janie przerwał te rozmyślenia.

- Moja dama pracowała cały dzień. Myślę, że znaleźliśmy już właściwe domy.

- Domy? - Pośredniczka spojrzała ze zdziwieniem na Raleigha.

Val prawie dostrzegła błysk dolara w oku tej kobiety. Nie flirtowała już, teraz nastawiła się na zysk. A swoją drogą, ją również zdziwiły te słowa. Czyżby rzeczywiście miał na myśli liczbę mnogą? Jej zwariowane serce zaczęło bić szybciej. Roześmiał się.

- Cóż, nie znam gustu pary młodej. Chciałbym pozostawić sobie możliwość wyboru.

Spojrzały na niego ze zdumieniem.

- Przepraszam - powiedziała spokojnie Janie. - Czy źle zrozumiałam? Nie masz zamiaru kupić tego domku nad zatoką? Zmieniłeś zdanie?

- Oczywiście, że nie. Kupuję ten dom i zgadzam się z Valentine, że jest on najpiękniejszy. Ale podoba mi się również ten drugi. - Spojrzał na swą towarzyszkę.

Zdezorientowana, wrzuciła ramionami. A więc cały czas ją obserwował. I podobały im się te same posiadłości. Jak mogła przypuszczać, że pozwoli jej, obcej osobie, wybrać dom dla swoich krewnych. W tej chwili zdała sobie sprawę, że nie pasowała do Raleigha.

Janie była nie mniej zdezorientowana, próbowała uśmiechnąć się.

- Mówiąc szczerze, panie Coseegan - powiedziała, nagle przybierając formalny ton - myślałam, że był pan zainteresowany kupnem dwóch domów.

- Byłem, ale teraz wiem już na pewno, że wybieram ten nad zatoczką.

- Dobrze. - Próbowała ukryć niezadowolenie ze zmiany planów. Cóż, sprzeda tylko jeden dom. - Zatrzymamy się na chwilę w biurze i podpiszemy umowę.

- Zrobimy to jutro. Valentine musi już wracać do domu. - Spojrzał na zegarek. Robiło się późno, a przecież ona tak wcześnie wstawała. Chciał chociaż chwilę zostać z nią sam na sam.

- To zajmie tylko chwilę.

- Przyjadę jutro - powiedział stanowczo, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że tak się stanie.

- Oczywiście. Tak będzie najlepiej. Valentine czuła się kompletnie zagubiona.

Walka o umowę zaczynała ją nudzić. Wiedziała tylko, że mimo wszystko cieszy się z wyprawy i dokonanego wyboru. Było w tym domku coś miłego i romantycznego.

Gdy siedzieli już w samochodzie, Raleigh zapytał:

- Kiedy chciałabyś się spotkać z rodziną, kwiaciarkami i Marią? Musimy w końcu ruszyć pełną parą z przygotowaniami.

- Każdy termin mi pasuje! Im szybciej, tym lepiej. Na razie zastanawiałam się z Lucy nad wszystkim tylko ogólnie.

- To świetnie. Może jutro wieczorem, o siódmej? Maria będzie już wolna, więc wszyscy spotkamy się w restauracji Carolyn i Toda.

- W porządku. Spojrzał na nią badawczo.

- Nie jesteś zła na mnie za to, że sam wszystko ustalam?

- Och, nie! To są interesy. Musimy się w końcu zorganizować. Pozostało już tak niewiele czasu.

Zgadzał się z nią całkowicie. Poza tym wiedział, że ma na głowie nie tylko to wesele.

Musiał uświadomić Valentine, iż ona go pragnie, dziewczyna jakby broniła się przed tym. Nie miał pojęcia, czy mu się uda.

- Będziesz miała czas, by upiec mój tort urodzinowy do piątku?

Chciałbym pokazać Carolyn i Todowi ten dom. Moglibyśmy wziąć ze sobą tort i w czwórkę uczcić moje urodziny.

- Oczywiście! - wykrzyknęła, podniecona tym niezwykłym pomysłem. - Ale przecież tam nie ma światła.

- Wiem. Możemy to jednak zrobić, kiedy jeszcze będzie widno. Weźmiemy ze sobą trochę mięsa i wino. Co o tym myślisz? Moglibyśmy wznieść toast za zdrowie państwa młodych i za ich nowy dom. Myślę, że Duncanom spodoba się ten pomysł.

- Też tak sędzę. Tort i ja będziemy gotowi w piątek po pracy, to znaczy: o piątej.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Dziękuję, że zgodziłaś się na moją propozycję.

- Z przyjemnością - powiedziała szczerze.

- Obiecuję, że nie będziesz żałowała.

Patrząc na niego, zastanawiała się, co chciał przez to powiedzieć. Ale czy zawsze musi go o coś podejrzewać? Czy przypadkiem jej nadwrażliwość znowu nie dała o sobie znać? Przecież cały czas dotrzymywał słowa i zachowywał się jak przyjaciel. Nawet gdy odprowadzał ją do drzwi, nie zapominał się ani na moment, nie próbował złapać jej za rękę.

- Dziękuję ci bardzo, że pojechałaś ze mną na te poszukiwania. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłaś.

- Nie ma za co. Sprawilo mi to ogromną przyjemność. Wszystkie te domy były śliczne.

- To prawda. Ale ty wybrałabyś ten nad zatoczką?



- Tak, Raleigh, ale powtarzam, wybrałabym dla siebie. Nie wiem przecież, czy Randolph i Mimmi mają taki sam gust jak ja. - Cieszyła się skrycie, że to nie na niej spoczywała ostateczna decyzja. Strasznie by się czuła, gdyby para młoda była rozczarowana. Jeśli w ogóle mogliby być niezadowoleni z jakiegokolwiek domu ofiarowanego w prezencie ślubnym. - To wspaniale, że wspólnie podjęliśmy decyzję - dodała.

- I ja się cieszę.

- Raleigh, jesteś niezwykle hojny. Myślę, że młodzi będą zachwyceni.

- Uważaj, co mówisz. Znowu mnie wychwalasz, a kto wie, do czego to może doprowadzić.

Miała podobne obawy. Jak to się wszystko skończy? Wiedziała jedno: jej serce było w niebezpieczeństwie.

- Jesteś pewna, że możesz przyjść jutro o siódmej? - Przerwał milczenie.

- Oczywiście. Przygotowania weselne coraz bardziej mnie wciągają. Jestem pewna, że Lucy chciałaby pójść ze mną.

- Dobrze. - Nagle pochylił się i delikatnie pocałował Valentine w usta. - Dobranoc - powiedział krótko, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Otworzyła drzwi. Poczowała jakąś niezrozumiałą pustkę. To ona chciała, by zostali tylko przyjaciółmi. To ona prosiła, by jej nie popędzał. Już dawno nie była tak rozczarowana jak teraz.

Już wiedziała, czego pragnie. Marzyła, by Raleigh wziął ją w ramiona i pocałował tak, jak to zrobił za pierwszym razem. Jaka była głupia. Jaka głupia! Do tej pory nie знаła bólu złamanego serca. Czuła się zdruzgotana. Zasypiała ze łzami na policzkach.

Odkąd Raleigh pojawił się w jej życiu, wszystko uległo zmianie. I co teraz? Och, co teraz?!

Spotkanie w restauracji udało się wyśmienicie. Valentine rozpraszały jedynie wspomnienia owego koszmarne wieczoru, kiedy to w tym samym

miejscu wykonywała taniec brzucha. Dyskusja nad weselem pozwoliła jej jednak szybko o tym zapomnieć.

Sala była pełna. Val czuła, iż jest to kolejna szansa do przedstawienia w dobrym świetle wyrobów swojej piekarni. Niemniej była trochę podenerwowana. Lucy nie chciała tu przyjść.

A szkoda, świetnie pasowałyby to tego towarzystwa.

Dziewczyna wiedziała jednak, że jej przyjaciółka celowo tak postąpiła. Zmusiła w ten sposób młodą szefową do wyjścia ze skorupki - do rozmowy z tymi obcymi ludźmi. Przecież nie mogła całe życie chować się przed nimi.

Ze zwykłą pewnością siebie Raleigh pomógł Valentine usiąść. Położył rękę na oparciu jej fotela i rozpoczął dyskusję. Po chwili Val zabrała głos. Z entuzjazmem opowiadała o swoich zamierzeniach. Wszystkie jej propozycje spotkały się z dużym zainteresowaniem.

Gdy spotkanie dobiegło końca, wszyscy z optymizmem patrzyli w przyszłość. Były oczywiście drobne niedociągnięcia, ale ogólnie przyjęcie wydawało się dobrze zaplanowane: wszyscy wiedzieli, co mają robić.

Ksiądz powiedział, że niektórzy parafianie chcą przynieść potrzebne produkty. Uzgodniono więc, że w ramach ślubnego prezentu można uczestniczyć w kosztach przyjęcia.

Wszyscy rozchodzili się w dobrych nastrojach. Panna młoda i pan młody byli rozpromienieni, a Carolyn po raz pierwszy od dłuższego czasu przestała się zamartwiać.

- Czy mogę odwiedzić cię do domu? - zapytał Raleigh, idąc z Valentine w kierunku parkingu.

Chciała się zgodzić. Czuła, że ten mężczyzna działa na nią bardziej niż zwykle. Cały wieczór był przy niej, dzięki jego pomocy odnalazła nowe możliwości współpracy z kwiaciarkami, dawał jej niezwykle poczucie siły i wiary we własne możliwości. Bez niego nie zdecydowałyby się na to wszystko.

- Wolalabym pojechać sama - zmusiła się, by to powiedzieć. - Jestem zmęczona i chcę jak najszybciej położyć się spać. - Wiedziała, że był zawiedziony.

- A więc w piątek, o piątej, z tortem. Nie zapomnij. - Uśmiechnął się.

- Na pewno nie zapomnę.

Już wiedziała, jak będzie wyglądał tort. Czekala z niecierpliwością na piątkowy wieczór.

- Czy mógłbyś przyjść piętnaście minut później?

- Oczywiście.

Pocałował ją krótko na pożegnanie i odszedł w kierunku swego samochodu.

Patrzyła, jak znika w ciemnościach. Chciałaby powiedzieć mu „tak”

Ale przecież piątek już za pięć dni. To niedługo. Na samą myśl o wyprawie nad jezioro serce zaczęło jej szybciej bić. Całe szczęście, że jadą z nimi Carolyn i Tod. Kto wie, co mogłoby się stać, gdyby byli tam sami, we dwoje.

Aż do piątku Valentine nie miała czasu na rozmyślania. Jedno było pewne: jej kłopoty finansowe skończą się wraz z weselem. Będzie mogła wreszcie oddać dług panu Carruthersowi i przenieść piekarnię.

Tuż przed piątą zamknęła sklep; przygotowywała się do spotkania. Rano, nim wyszła do pracy, zrobiła porządek ze swoimi włosami, teraz zdjęła tylko czepek i uczesała je. Włożyła długą, niebieską suknię i czarne pończochy. Tego wieczoru chciała wyglądać inaczej. Była to przecież specjalna okazja.

Dokładnie piętnaście po piątej Raleigh zapukał do drzwi. Pobieгла, by otworzyć, i stanęła w progu zdziwiona. Był sam.

- Cześć! - powiedziała jej serce waliło jak oszałałe.

- Cześć! Wyglądasz cudownie! Zarumieniła się.

- Dziękuję, a gdzie Carolyn i Tod? Spojrzał na nią ponuro.

Mam nadzieję, że nie będziesz za bardzo zawiedziona, ale tylko we dwoje spędzimy dzisiaj moje urodziny. Już chciałem im o tym powiedzieć, ale przypomniałem sobie, że Carolyn to straszna gaduła i z pewnością zepsułaby niespodziankę. - Kłamał, choć może niezupełnie. Jego siostra nigdy nie potrafiła dochować tajemnicy.

- Och, tak?! - Z jednej strony cieszyła się, że pojedą tam sami, ale z drugiej...

- Nie zmieniałaś zdania? Chcesz nadal uczcić moje urodziny?

- Oczywiście - odpowiedziała bez chwili wahania. Zaśmiała się. - Mam duży tort. Obawiam się nawet, że za duży!

- Nie będziemy jedli tylko tortu. Mam ze sobą kilka kurczaków i butelkę wina.

Rozbawieni doszli do kuchni, gdzie stał tort urodzinowy. Gdy Raleigh próbował otworzyć pudełko, zganila go.

- Nie możesz na niego spojrzeć, dopóki nie będziemy gotowi do jedzenia. Uśmiechnął się i złapał ją za rękę.

- W porządku! Gotowa do drogi? Zawahała się.

- Skoro nie jedziemy pokazać domu Carolyn i Todowi, to co zrobimy?

Spojrzała na ich połączone dłonie. Może powinni pojechać do niej? Ale przecież bardzo chciała zobaczyć jeszcze raz ten dom nad zatoczką.

Zamyślił się.

- Jeśli chcesz, możemy zrobić tak, jak zaplanowaliśmy. Obejrzymy domek dokładnie. - Rozejrzał się po sklepie i ścisnął delikatnie jej palce. - Prawdę mówiąc, chciałbym, żebyś pomogła mi jeszcze trochę. Cóż, ja jestem beztalencie, a chciałbym kupić nowy dywan do salonu. Ty zrobiłabyś to najlepiej.

Wysunęła rękę z jego dłoni i wzięła pudełko z tortem. Raleigh był dla niej taki miły, ale nie zdawał sobie chyba sprawy, że jego dotyk ma właściwości

paralizujące. Spojrzała na niego badawczo. On również potrafił gustownie dobrać kolory.

Ubrany był w luźne, beżowe spodnie i koszulę w kolorze czekolady.

- Wiem, że proszę cię o zbyt wiele, masz przecież tyle pracy z tym weselem. Dam ci klucz, więc pojedziesz tam, kiedy będzie ci najwygodniej. Proszę, zrób to dla mnie.

- Z przyjemnością ci pomogę. - Uśmiechnęła się do niego. - Cieszę się, że widzisz we mnie eksperta, a poza tym: od czego ma się przyjaciół?

- Rzeczywiście?! - powiedział w taki sposób, że ciarki przeszły jej po plecach.

Gdy dotarli na miejsce, poczuła się nieswojo. Przez chwilę pomyślała nawet, że Raleigh kupił ten dom właśnie dla niej. Ale to był tylko moment.

- Pokochałaś to miejsce, prawda?

- Raleighu Coseeganie, mam wrażenie, że czytasz w moich myślach!

- Nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnę! Moje życie stałoby się o wiele prostsze.

„I - dodał w duchu - przynajmniej wiedziałbym, na czym stoję i co mam robić ze swoją przyszłością”.

- Twoje śliczne, niebieskie oczy są jak lustro: pokazują, co myślisz i czujesz. Widzę, że pokochałaś ten dom. Nie możesz tego ukryć i nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy.

Valentine uśmiechnęła się. „Co jeszcze dostrzegł w moich oczach?” - pomyślała nerwowo.

- Cóż. Więc wiesz o mnie wszystko, a szkoda, bo mężczyźni ponoć lubią tajemnice.

- Nie wszyscy. Ja mam już dość tej obłudy zwanej tajemniczością. Tęsknię za zwykłym życiem, w którym ludzie są po prostu ludźmi, w którym nikt nikogo nie wykorzystuje ani nie krzywdzi dla politycznych czy finanso-

wych zysków. - Spojrzał w jej oczy. - Przepraszam. Wybacz tę dygresję. Przecież przyjechaliśmy tu, by się bawić. Są moje urodziny!

Nie miała mu wcale za złe, że jej to powiedział. Wręcz przeciwnie. Teraz zaczynała wierzyć, że Raleigh ma zamiar porzucić swój dotychczasowy tryb życia i osiąść w tym małym, południowym miasteczku.

Znowu przyłapała się na marzeniach. Przecież on nie zostanie tu specjalnie dla niej! Nawet jeśli osiadzie nad jeziorem, to tylko ze względu na rodzinę siostry. Istniały wszak tysiące takich małych miasteczek, czemu więc miałby wybrać właśnie to?

- Co to za przyjęcie urodzinowe we dwoje? - zapytała żartobliwie, chcąc rozluźnić atmosferę.

- Chyba nie mówisz serio? Uwierz mi, właśnie takie party jest najlepsze.

- A kto zje cały ten tort?

- Może część zamrozimy - zaproponował poważnie - i poczęstujemy gości weselnych? Wygląda okazale.

- Taki chciałeś, mój panie, więc taki zrobiłam. Poza tym, nawet go nie widziałeś. Jest czteropoziomowy.

- Tylko cztero? - drażnił się z nią. - W takim razie może sam dam radę zjeść cały. Nie ma problemu!

Bawili się doskonale. Val zaczynała się odprężyć. Wciąż jednak jej radość mieszała się z obawą. Przecież on odjedzie, to pewne, czy warto więc go kochać? Coś jednak mówiło jej, że nie może się bronić, że jest już na to za późno. Denerwowała się; nie wiedziała, czy w ogóle będzie w stanie brać udział w tej uczcie.

Raleigh otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

- Wniosę wszystko do domu, tort również - powiedział.

- O, nie! Tort biorę ja. Nie chcę, żebyś podglądał. Przegrałam zakład, mam więc prawo żądać chociaż tego.

- Tylko uważaj, bo nie wiem, co z tobą zrobię, Valentine Smith, jeśli upuścisz mój czteropoziomowy tort.

- Nie obawiaj się, mam wprawę w noszeniu ciast. Weź pozostałe rzeczy.

Wysiadła z samochodu i poczekała, aż Raleigh wypakuje wszystko z bagażnika. Kurczaków i wina wystarczyłoby dla całej armii.

Raleigh wziął też wspaniały, pluszowy koc. Rozłożył go przed kominkiem, w salonie.

- Chciałbym rozpalić ogień, ale niestety jest dzisiaj zbyt ciepło.

Odwróciła się, by mógł wszystko przygotować. Gdy znowu spojrzała, zaniemówiła. Koc przed kominkiem wyglądał niczym suto zastawiony stół; pełen kurczaków, słodczy i wina. Obok siebie stały dwa piękne kieliszki. Na gzymsie kominka, w gustownym, czerwonym świeczniku paliły się dwie świece.

Raleigh napełnił kieliszki i gestem zaprosił Valentine do stołu-koca.

- Czy mogę już wziąć tort? - zapytał, wyciągając rękę.

Val nawet nie zdawała sobie sprawy, że wciąż trzyma pudełko.

- Tylko bez podglądania! - powiedziała ostro.

- Nawet teraz?

- No, dobrze. - Podała mu tort.

Kiedy Raleigh zdjął pokrywkę, roześmiał się.

- Ty nikczemna, mała czarownico!

Tort był w kształcie staruszka z laską, ubranego w luźne spodnie. Na głowie miał rzadkie kosmyki włosów. Na dolnej warstwie widniał duży napis: „Już prawie trzydzieści siedem i więcej...”

Val nie wiedziała, jak Raleigh zareaguje na taki dowcip. Jego reakcja ucieszyła ją.

- I jak? Jesteś tak zadowolony ze swojego wyglądu, więc pomyślałam, że przyda ci się mała odtrutka.

- Myślisz, że kiedy będę miał rok więcej, to się zmienię?!

Chwycił ją w ramiona, przechylił delikatnie na koc i odszukał ustami jej wargi. Wpił się w nie z całą siłą, która wzbierała w nim od tyłu już dni.

- Raleigh, nie... - Próbowwała się uwolnić.

- Co, nie... - zamruczał, delikatnie pieszcząc językiem jej usta.

Valentine nie potrafiła już odpowiedzieć. Dziwiła się nawet, iż przed chwilą mogła stawiać opór. Objęła go i przytuliła mocniej. Chciała czuć jego ciało. Nie wiedziała, a raczej nie chciała wiedzieć, co się z nią dzieje.

## ***ROZDZIAŁ IX***

Rozkoszowała się tą chwilą. Myślała tylko o tym, jak bardzo go pragnie. Zbyt długo na niego czekała. W jednej chwili przysły wszelkie obawy, które dotąd ją wstrzymywały. Raleigh był taki śmiały, podniecający. Przecież ona go kocha. Tak, wiedziała o tym od samego początku. Teraz cały świat przestał dla niej istnieć. Pragnęła tylko Raleigha.

Delikatnie całował jej twarz i szyję. Wtuliła się w niego, chciała wziąć wszystko, co mógł jej dać. Znowu połączyli się w szaleńczym pocałunku.

Dotknął dłonią jej piersi i zaczął powoli rozpinąć sukienkę.

Czuła dreszcze przebiegające po kręgosłupie. Wiedziała już, do czego oboje zmierzają. Nie miała wątpliwości, iż Raleigh chce ją zabrać tam, gdzie już tak dawno nie była. I nie zamierzała stracić ani jednego kroku z tej wędrówki.

W pewnym momencie odsunął się od Valentine, chciał na nią spojrzeć. Zamknęła oczy, ale jej ciało mówiło mu wszystko. Zdjął z niej sukienkę i zamarł w zachwycie. Miała cudowne piersi. Ustami odszukał napięte sutki i zaczął je delikatnie pieścić.

Val poczuła, że ogarnia ją fala gorąca. Płonąc z pożądania, wbiła paznokcie w jego plecy. Z jej ust wyrwał się jęk rozkoszy.

- Ubrania nam chyba przeszkadzają, prawda? - usłyszała urywany szept Raleigha. Nie była jednak w stanie mu odpowiedzieć. Dopóki czuła jego



rozpalone ciało, nie istniało dla niej nic więcej. Pragnęła tylko jednego. Nawet, jeśli to miałyby być ten jeden, jedyny raz.

Zsunął jej z ramion halkę. Pomogła mu, unosząc biodra do góry. Leżała teraz przed nim, ubrana tylko w pończochy i niebieskie majteczki.

- Och! - westchnął. - Jesteś piękna. - Całując delikatnie piersi, zdejmował koronkowe majteczki. - Odpręż się, kochanie.

Val bardzo chciała się odprężyć, ale jej ciało płonęło. Dreszcz podniecenia wstrząsnął nią ze zdwojoną siłą.

Raleigh zdejmował teraz pończochy, całując przy tym jej stopy.

Śmiała się. Jeszcze nigdy nie czuła nic podobnego. Zdziwiło ją to i rozbawiło.

- Podoba ci się?

- Tak, wszystko, co robisz.

- Wspaniale, bo to dopiero początek. - Uśmiechnął się tajemniczo i zaczął się rozbierać. - Chcę czuć cię jak najbliżej.

Leżała nieruchomo, obserwując Raleigha. Już po chwili jego pragnienie było widoczne. Powoli klęknął przy niej na kocu. Zaczął całować i masować delikatnie jej uda i pośladki. Płonęła.

Miała wrażenie, że za chwilę skona. Ich ciała powoli połączyły się. Krzyknęła z rozkoszy. Czuła go każdym nerwem. Jeszcze mocniej przytuliła się, pragnąc, by wszedł w nią głębiej i silniej.

Raleigh chciał, żeby ten ich pierwszy raz przebiegał powoli, ale czując rozsadzającą ją namiętność, zaczął napierać z coraz większą siłą.

Potem oboje upajali się tą najpiękniejszą chwilą.

Raleigh jeszcze nigdy nie doznał podobnego uczucia, chociaż w pewnych kręgach był uważany za eksperta w dziedzinie seksu. Jednak ta południowa dama porwała go w niezwykły świat.

- Jesteś niesamowita - wyszeptał w końcu, gładząc jej śliczne włosy. - Przysięgam, że jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze.

Bardzo chciała mu wierzyć. Sama też nie mogła powstrzymać się od wyznania.

- Nawet nie wiedziałam, że można to przeżyć w ten sposób.

Czuła, że to prawdziwa miłość uczyniła z tego aktu tak niesamowite wydarzenie. Gdy trwali złączeni, miała wrażenie, że ich dusze także się zespoliły. Chciała powiedzieć o tym Raleighowi, ale zamiast tego wyszeptała tylko:

- Kocham cię! - Na szczęście powiedziała to tak cicho, że nie była pewna, czy usłyszał.

Wstrzymał oddech, by zrozumieć, co do niego mówi. Chciał prosić, aby powtórzyła, ale obawiał się, iż zepsuje nastrój. Serce Val biło równie szybko i głośno jak jego. To był jedyny dźwięk, który rozlegał się w pokoju.

Czekała w napięciu, czy Raleigh zareaguje na jej wyznanie, jeśli w ogóle je usłyszał. On jednak nic nie odpowiedział.

„Usłyszał na pewno - pomyślała. - I teraz wydaje mu się, że jestem głupią, naiwną kobietą, która zawsze mówi takie słowa kochankom”.

Spojrzał w jej szczerze, niebieskie oczy i szepnął:

- Musisz mi uwierzyć, że jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyłem niczego podobnego. Wiem, myślisz pewnie, iż to niemożliwe, tyle przecież jeździłem po świecie. - Zaśmiał się nerwowo. - I co z tego?! Do diabła, naprawdę... To było... to było... Cholera! Jestem pisarzem i nie potrafię tego wyrazić słowami!

Wiedział dobrze, jakie słowa najlepiej oddałyby to, co czuł. Bał się jednak je wypowiedzieć. Nie był jeszcze gotowy, mimo że uświadamiał sobie już, jakiej pragnie przyszłości.

Całkiem poważnie myślał, by osiąść w tym miasteczku, pisać tu książki i, być może, ożenić się z Valentine. Oto dlaczego kupił dwa domy: ten, w którym byli teraz, dla siebie i dla niej, a drugi - dla Randolpha i Mimmi.

Najgorsze było to, że wszystko potoczyło się tak szybko, a przecież miał jeszcze niezwykle ważne zadanie do wykonania. Zadanie, o którym nie mógł Valentine nic powiedzieć. Obiecał sobie i jej, że będzie cierpliwy, a tu...

Odsunął się od niej. Valentine poczuła zimny powiew powietrza. Sięgnęła po suknię. Raleigh zmienił się tak szybko. Na pewno powiedziała za dużo i teraz on żałuje, że się z nią kochał. Nie na darmo mówił jej przecież, że było to przyjemne doświadczenie. Przyjemne, nic więcej. Wiedziała, że ona nigdy nie będzie tego żałowała.

Odwrócony do niej tyłem, powiedział cicho:

- Valentine, chciałem, żeby to wszystko wyglądało inaczej. To prawda, pragnąłem cię od samego początku, ale myślałem, że wszystko potoczy się znacznie wolniej. - Spojrzał na nią przez ramię.

Nie mogła powstrzymać płaczu. Czowała się oszukana i zhańbiona.

- Och, proszę, nie płacz! Przecież nie chciałem cię zranić - powiedział łagodnie. - To stało się po prostu tak szybko. Kocham cię, przecież wiesz o tym.

Mało tego, że ją upokorzył, to jeszcze kłamię. Na szczęście nie jest tak głupia, by uwierzyć. Ekstaza, którą czuła jeszcze kilka minut temu, zamieniła się w rozpacz. Chciała uciec stąd jak najszybciej. Wciągnęła suknię i zebrała szybko bieliznę.

- Zawieź mnie do domu, proszę - powiedziała, nie spoglądając na niego.

Raleigh próbował ją przytulić, ale uciekła.

- Proszę, zostań i posłuchaj. Spróbuję ci wszystko dokładnie wyjaśnić.

Nie uciekaj znowu ode mnie w tak ważnej chwili.

Odwróciła się. W jej oczach zobaczył ból i rozpacz.

- Proszę, zawieź mnie do domu. Proszę.

Nie wiedział, co robić; tak bardzo chciał uratować ten wieczór. On, Światowiec, człowiek znajdujący wyjście z każdej sytuacji, był bezradny. Dyskusja z Val nie miała sensu. Przeżył zbyt wiele i wiedział, że ta kobieta nie

śłuchałaby teraz żadnych wyjaśnień. Najlepszym wyjściem było odwiezienie jej do domu, tak jak o to prosiła.

Ubrał się szybko. Spojrzał na nietknięte jedzenie i tort urodzinowy. Zgasił świece i zamknął za sobą drzwi. Valentine czekała na niego w przedpokoju.

Droga do domu wydawała się Raleighowi dwa razy dłuższa. Wiedział, że Val cierpiała, a on był tego powodem. Wyobrażał sobie, co o nim teraz myśli. Musi spróbować jeszcze raz wszystko jej wytłumaczyć. Tylko jak?

Czy powinien powiedzieć, że dom, z którego właśnie uciekła, kupił z jej powodu? A co będzie, gdy po zakończeniu misji poczuje, że nie może zerwać z dotychczasowym trybem życia? Co się stanie, gdy okaże się, iż ta krótka, intensywna odmiana, którą przeżył w tym mieście, doda mu sił do stawienia czoła nie tylko temu zadaniu ale i następnym? Co wtedy? Och, ale przecież nie miał żadnych wątpliwości: kochał Valentine Smith i chciał się z nią ożenić! Gdyby jednak nie rzucił swojego zawodu...?!

Nie miał pojęcia, dlaczego wszystko tak źle się potoczyło. Powinien być bardziej cierpliwy i ostrożny. Zostało mu już przecież to jedno, ostatnie zadanie. Po nim miał podjąć ostateczną decyzję. A teraz?!

Musiał spróbować z nią porozmawiać. Nie mógł jej odwieźć do domu i zostawić w rozpacz, tym bardziej, że wiedział, co kiedyś zrobił jej Brady.

- Valentine, porozmawiajmy, zanim sprawy nie przybiorą jeszcze gorszego obrotu. Nie żartowałem, naprawdę cię kocham!

Zacisnęła mocniej pięści. Bała się, że znowu wybuchnie płaczem.

- Przecież tylko spaliśmy ze sobą - powiedziała zimnym, ostrym głosem. - Nie znacę dla ciebie nic więcej, niż pierwsza lepsza na jedną noc. Więc proszę, daruj sobie te wszystkie kłamstwa.

- Valentine... - Spojrzał jej w oczy.

- Od samego początku wiedziałam, że to się tak skończy. Nie żałuję.

Tylko przestań się tłumaczyć i przepraszać. - To prawda, nie żałowała, chociaż cena była wysoka.

- Valentine! Nie byłaś żadną pierwszą lepszą. Ja naprawdę cię kocham. Muszę jeszcze raz...

- Proszę, nie mów nic więcej. Nie chcę, byś traktował mnie jak młodą, południową damę, którą twoim zdaniem jestem. Fałszywe słowa i głupie obietnice niczego nie zmieniają. Mamy razem pracować do wesela. Później nie chcę cię znać. - Zaśmiała się gorzko. - Nie sędzę, żebyś mnie zrozumiał.

Próbował złapać ją za rękę, ale odsunęła się szybko.

- Do cholery, Valentine, posłuchaj mnie!

- Nie. Nigdy więcej! Nie chcę cię słuchać. Powoli tracił cierpliwość. Zacisnął zęby i ujął mocniej kierownicę. Jechał o wiele za szybko. Chyba zwariuje przez tę kobietę! Była dla niego wszystkim, wszystkim, czego pragnął.

Nagle pojawiło się za nimi błyskające, niebieskie światło.

- Do cholery! - zaklął, dając upust emocjom.

Spojrzał na licznik. Jechał sześćdziesiąt pięć mil na godzinę w strefie ograniczenia prędkości do pięćdziesięciu pięciu.

Zatrzymali się na poboczu. Był bardzo zdenerwowany. Ostatni raz płacił mandat w wieku szesnastu lat.

Nagle uśmiechnął się. Zbyt długo już nie pracował, a tu nadarzyła się świetna okazja. Spojrzał na Valentine. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

- Wszystko w porządku. Zasłużyłem na tę karę.

Do samochodu podszedł młody policjant.

- Poproszę pańskie prawo jazdy i dowód rejestracyjny wozu.

Raleigh uśmiechnął się. Był zatrzymywany na granicy walczących ze sobą państw, wtedy mógł się bać, ale teraz?

Gdy policjant otworzył dowód Raleigha, zakłopotał się nieco.

- Czy pan wie, że jechał pan sześćdziesiąt pięć zamiast przepisowych pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę? - spytał.

- Mówiąc szczerze, to wszystko przez miłość do tej kobiety. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że jadę tak szybko.

- Cóż, powinienem dać panu wezwanie. - Zajrzał do wnętrza samochodu i zobaczył śliczne, niebieskie oczy Valentine. - Ale tym razem poprzestaniemy na ostrzeżeniu. Jeśli chce pan dożyć następnych urodzin, radzę zwolnić i patrzeć przed siebie. Większość wypadków jest spowodowana właśnie przez nieuwagę.

O mało nie parsknął śmiechem. Ten młody policjant nawet nie miał pojęcia, ile wypadków Raleigh widział już w swoim życiu.

- Dziękuję. Zwolnię trochę - powiedział, chowając dokumenty.

- Przepraszam - wyszeptała Valentine.

- Za co? - zażartował z nadzieją, że może dziewczyna da się wciągnąć w rozmowę. - Przecież to nie ty naciskałaś gaz.

Nie miała jednak nic więcej do powiedzenia. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i poukładać swoje myśli, jeżeli w ogóle było to możliwe. Pragnęła rzucić się na łóżko, nakryć głowę poduszką i płakać jak małe dziecko.

Nie wiedziała, ile czasu zajęła im droga do domu. Kiedy jednak dojechali, poczuła się znacznie lepiej. W momencie gdy Raleigh zatrzymał samochód, wyskoczyła i pobiegła do domu. Oparła się o drzwi, z trudem łapiąc oddech i czekała, aż Coseegan odjedzie.

Poszła do sypialni i rzuciła się z płaczem na łóżko.

Upokorzenie, które spotkało ją w banku, wydawało jej się niczym po tym, co przeżyła dzisiaj. Czowała, że ta rana nigdy się nie zagoi.

Raleigh nie czuł się na siłach iść na spotkanie z Todem i Carolyn. Chciał zostać sam. Potrzebował czasu, by wszystko przemyśleć. Zdecydował, że wróci nad jezioro. Poza tym ktoś musiał tam posprzątać, zanim mrówki rzucają się na jedzenie.

Wszedł do salonu, oświetlając sobie drogę zapalką. Koc i jedzenie leżały tam, gdzie je zostawili. Zapalił świece, ale nic nie mogło przywrócić tamtej atmosfery. Dom był pusty i zimny.

Patrzył przez chwilę na tort i nagle, w przypiływie złości, chwycił koc i silnie pociągnął. Porcelana, jedzenie, wino i tort połączyły się w jedną masę.

Związał ze sobą cztery rogi i zaniósł pakunek do przedpokoju. Jutro wszystko wyrzuci. Nie chciał, żeby cokolwiek przypominało mu ten tragiczny wieczór.

Zszedł nad brzeg jeziora i przyglądał się czarnej wodzie, która drażyła piasek zatoki.

Następnego dnia Valentine wstała i poszła do pracy, jakby to był normalny, kolejny ranek w jej życiu. Mechanicznie wykonywała wszystkie czynności. Próbowwała skoncentrować się na pracy, ale nie bardzo jej to wychodziło. Nie mogła zapomnieć.

Weszła Lucy, rozpromieniona i wesół.

- Jak się podobał tort panu Coseeganowi? - zapytała.

Val przełknęła z trudem ślinę. Och, zostawili tort na kocu, obok kurczaków i wina!

- Valentine? Nie podobał mu się? Nie ma poczucia humoru?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Mówił, że jest wspaniały! Ale napis nie przypadł mu do gustu.

- Jeszcze nigdy nikt mu tego nie powiedział, ktoś musiał być pierwszy.

Och, on jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w swoim życiu!

Tacy jak on doprowadzają kobiety do szaleństwa. - Spojrzała na Val. - Nie byłby dla panienki taki zły. Powiem panience jeszcze coś. Myślę, że on panienkę lubi. A przy okazji, jak się udało przyjęcie urodzinowe?

- Nie było zbyt wielu gości. Zdecydowaliśmy nawet, że częścią tortu podzielimy się z gośćmi weselnymi.

„Nawet go nie pokroiliśmy” - pomyślała.

- To wspaniały pomysł - powiedziała Lucy, przerywając myśli Valentine.

- Ja po prostu kocham śluby. Jestem tak podekscytowana i cieszę się, że całe miasto bierze w nim udział. Wiesz, kiedy byłam dziewczynką, co roku w parku był festyn. Muzyka, tańce, zabawy. Wydaje mi się, że ten ślub to właśnie coś takiego: zabawa dla każdego, kto przyjdzie. Nie sądzisz?

Już chciała skinąć głową, gdy nagle do sklepu wszedł jakiś klient. Zobaczyła jasne włosy i pomyślała, że Raleigh. To tylko jej przewrażliwiony umysł pobudzał wyobraźnię. Nie była pewna, czy jest rozczarowana, czy zadowolona.

Raleigh nie podjął żadnej decyzji. Całą noc spędził na pomoście, wpatrując się w wodę. Postanowił jedynie odwiedzić rano starego pana Carruthersa i wykupić od niego budynek, w którym mieścił się sklep Valentine. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie to jego prezent ślubny. Nie pozwoli, by pozostawała dłużej na łasce tego starego pryka. Po wywiadzie, jaki zrobił na jego temat z Carolyn i Todem, nie miał wątpliwości, że Val powinna się trzymać od niego z daleka.

Myślał o niej przez całą noc. Przypominał sobie jej gorące pocałunki, jej ruchy wszystko.

- Do cholery! - zaklął głośno. - Jeśli nie przestanę o tym myśleć, chyba zwariuję!

Pragnął pójść do sklepu i wytłumaczyć jej wszystko, ale przecież przekonał się już wczoraj wieczorem, że było to niewykonalne i bezcelowe.

Na szczęście mógł wyładować swoją złość na Carruthersie. Wykonał już nawet jeden telefon, w którym poinformował go, iż chciałby kupić budynek i jakie są tego powody. Stary, przebiegły lis. Nawet mu głos nie zadrżał, gdy Raleigh powiedział, że chce kupić ten dom na prezent ślubny dla swojej przyszłej żony, Valentine Smith.

- Porządna dziewczyna, porządna - powtórzył tylko i zaproponował, by o cenie porozmawiać na Main Street.

Raleigh uśmiechnął się, gdyż wyprzedził trochę pana Carruthersa. Przeprowadził małe dochodzenie i wiedział od pośredników, ile wart jest ten budynek. Nie miał wątpliwości, że uda mu się go kupić, i to po rozsądnej cenie. Zastanawiał się tylko, co na to powie Valentine.



## **ROZDZIAŁ X**

Valentine mimo nawału pracy nie mogła o nim zapomnieć. Kiedy zadzwonił, jej serce zaczęło bić mocniej i nie sądziła, że będzie w stanie wypowiedzieć choć jedno słowo.

- Mam ten dodatkowy klucz do domku - powiedział - a ponieważ wesele jest już w następnym tygodniu, rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy przy urządzeniu wnętrza. Wiem, że jesteś zajęta, ale może znajdziesz choć chwilę, by przyjechać i pomóc mi wybrać kolor dywanu i zasłon?

- Ja... ja... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak on mógł rozmawiać z nią tak swobodnie?

Pozbierała myśli. Nie może pokazać mu znowu, jak bardzo ją zranił. Przystąpiła na jego propozycję.

- Dobrze, myślę, że znajdę kilka godzin dzisiaj po południu.

- To świetnie! Czy przyjechać po ciebie o piątej?

Jeszcze chwila i powiedziałaaby, że o piątej piętnaście, ale na szczęście w porę ugryzła się w język.

- W porządku. - Odwiesiła słuchawkę. Nie wiedziała, czy płakać, czy śmiać się.

- Kto to był? - zapytała Lucy.

- Raleigh Coseegan.

- Och, czy rozmawialiście o weselu? Nagle Valentine ożywiła się.

- Słuchaj, Lucy, to sekret, ale pan Coseegan daje w prezencie ślubnym Randolphowi i Mimmi dom nad Jeziorem Górskim Smithe'a. Pomogłam mu go wybrać i teraz pomagam urządzić. Trochę kolorów, wiesz, te sprawy. Przyjedzie po mnie o piątej.

Zauważyła błysk w oku Lucy.

- Rozumiem - odparła starsza kobieta, składając ręce. - Powiedziałam, że on jest panienką zainteresowany. Nie zdziwiłabym się, gdyby wynikło z tego kolejne wesele.

- Lucy, ty romantyczko, ten mężczyzna to straszliwy kobieciarz. Nie sądzę, by myślał kiedykolwiek o małżeństwie. Uwierz mi.

Lucy przypomniała sobie ich pierwszą rozmowę. Rzeczywiście, nie wydawał się wtedy zbyt optymistycznie nastawiony do małżeństwa. Zresztą, co ona mogła wiedzieć?

Gdy Raleigh przyjechał, Valentine była zupełnie roztrzęsiona. Czyż nie mogła mu od razu odmówić? Do cholery! Przecież wiedziała dobrze, dlaczego. Chciała go po prostu zobaczyć. Zaczynała żałować, że nie odświeżyła się po całym dniu pracy.

- Cześć - powiedział Raleigh, zdziwiony, że w ogóle jest w stanie mówić. Jej widok odbierał mu głos. Co się z nim działo? Czy mogli jeszcze rozmawiać?

- Halo! - Z trudem patrzyła mu w oczy. Czy nie wiedział, co jej zrobił? Z pewnością po tym, co stało się w domku, czuł do niej coś więcej niż przyjaźń! Czy tylko ona jest taką wariatką, która sądzi, że seks równa się miłości?

- Gotowa?

Westchnęła. Nigdy nie była tak gotowa jak teraz. Bez słowa wyszli ze sklepu. Zamknęła drzwi i zaczerpnęła powietrza z nadzieją, że to uspokoi ją nieco.

- Jak idzie pieczenie ciast?

Na szczęście odprężył się już. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby Valentine nie chciała się z nim spotkać.

- Och, zupełnie dobrze! Wszyscy pracują z takim zapałem. Nie wiedziałam, że to może być taka przyjemność. Prawie całe miasto cieszy się z tego wesela. Wspaniale!

Przypomniał sobie nagle pana Carruthersa.

- Jak się ma twój pan dzierżawca? Co on sądzi o tym weselu?

Zmarszczyła brwi.

- Mówiąc szczerze, nie wiem. Nie pojawił się już od tygodnia.

- Myślę, że to niezwykle.

- Niezwykłe? - powtórzyła. - To raczej wspaniałe, że ten potwór siedzi w swojej norze.

- Nie winiłbym go tak bardzo. Jesteś kobietą, przy której łatwo się zapomnieć.

Szybko spojrzała w okno. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Myślę, że rodzice Mimmi już przyjechali?

- Tak. Są czarujący i bardzo podekscytowani ślubem i weselem.

- Rozmawiają po angielsku?

Wstrzymała oddech. Och, on był tak pociągający! Nawet po tym wszystkim, co między nimi zaszło. Wciąż go pragnęła.

- Znają cztery słowa: dziękuję, toaleta, jedzenie i do widzenia.

- No, to podstawy już mają.

Roześmieli się oboje. Raleigh uściskał jej dłoń.

- To wesele będzie wspaniałym wydarzeniem, a ty grasz jedną z głównych ról.

- Tylu ludzi włączyło się do tego, że w rzeczywistości mam o wiele mniej roboty.

- To prawda, ale nikt nie ma takiego talentu jak ty. Wszystko zostanie na stołach, tylko twoje smakołyki znikną. Jestem tego pewny.

- Dziękuję.

Gdy zajęchali na miejsce, poczuła zdenerwowanie. Na szczęście Raleigh zadbał o to, by tym razem wszystko odbyło się szybko i sprawnie. Miał przygotowane kawałki różnych materiałów i tapet. Jej rola polegała więc tylko na wskazaniu odpowiednich.

Już o dziesiątej była z powrotem w domu.

Całą drogę zastanawiała się, czy spróbuje ją pocałować, porozmawiać z nią. On jednak podał jej tylko klucz od domku.

- Gdybyś kiedykolwiek miała chwilę wolnego czasu i mogła wpaść tam, byłbym wdzięczny. Mógłbym to zrobić sam, ale jak wiesz, jestem zupełnie beztalencie, jeśli chodzi o te sprawy.

- Kiedy tylko skończą zakładać instalację, wpadnę. Obiecuję, że cię nie zawiodę.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Nigdy nie sądziłem, że mogłabyś to zrobić, Valentine Smith. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, wiedziałem, że można na ciebie liczyć.

Uśmiechnęła się z trudem. Nie powiedział, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Tańczyła przecież wtedy ten rozpaczliwy taniec brzucha. Teraz śmiała się z tego trochę. Niemniej nie potrafiła zapomnieć o upokorzeniu.

- Dziękuję - szepnęła, odwracając się do drzwi.

Odprowadził ją wzrokiem.

- Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc.

Zamknęła za sobą drzwi. Znowu poczuła nadchodzącą pustkę. Czemu pokochała właśnie Raleigha Coseegana? Czemu? Czy nie nacierpiała się już z powodu mężczyzn do niego podobnych? I chociaż obiecała sobie, że nie będzie płakać, nie mogła się powstrzymać.

W dniu ślubu ciemne chmury zebrały się na niebie. Wszyscy byli tym okropnie zmartwieni. Nikt nie chciał ucztować w deszczu, chociaż w sadzie stał duży pawilon i mnóstwo namiotów. Cały park był wspaniale przystrojony. Drzewa właśnie rozkwitły, a stoły udekorowano czerwonymi kwiatami i ziele- nią. Ślub miał się odbyć o czternastej.

Carolyn i Valentine stanęły z boku, by swobodnie obserwować tłum nadchodzących gości. Nagle Val dostrzegła Raleigha. Miał na sobie piękny, granatowy smoking.

- Wyglądasz wspaniale! - wykrzyknęła, zanim zdążyła pomyśleć, co robi.

- Dziękuję. I ty, jak zwykle, wyglądasz przeuroczo.

Och, jak ona lubiła jego komplementy! Była ubrana w letnią, różowo-białą sukienkę. Włożyła buty na wysokim obcasie. Wiedziała, że będzie dzisiaj długo na nogach, chciała jednak zrobić na nim wrażenie.

- A dla mamy pana młodego? - zagadnęła Carolyn. - Dla mnie nie ma komplementów?

Objął ją i pocałował.

- Raleigh, nie! - zaprotestowała. - Zetrzesz mi szminkę!

Spojrzał na Valentine i potrząsnął głową.

- Kobiety! Zawsze niezadowolone! Jak sądzę, ty też nie chcesz buziaka ode mnie, zgadłem?

Czuła, że jej twarz robi się czerwona. Pragnęła nie tylko jednego jego pocałunku...

- Zgadłeś. Poza tym moja szminka... „Znowu ten ton” - pomyślał i dodał:

- Cóż, trudno. Czy widzicie gdzieś Toma? - Zmienił temat, pragnąc jak najszybciej zniknąć, zanim powie za dużo.

- Pojechał po pannę młodą i jej rodzinę. Ślub już za dwadzieścia minut. - Carolyn spojrzała w niebo. - Może do tego czasu nie będzie padać.

Nagle potężny mężczyzna podszedł do Raleigha i klepnął go w plecy.

- W końcu cię znalazłem - powiedział tubalnym głosem.

- Zawsze byś mnie znalazł, Harris! Do cholery, stary, to że wysłałem ci zaproszenie, nie znaczy wcale, iż chciałem cię tu widzieć - zażartował. - Nie sądziłem, że przyjedziesz. Nie wiedziałem, czy jesteś w kraju.

Harris śmiał się.

- Właśnie wybierałem się do Waszyngtonu. Mówiąc szczerze, nie przyjechałbym, gdyby nie list, który dołączyłeś do zaproszenia. Pomyślałem, że muszę pogadać z tobą poważnie.

- Daruj sobie. Tomie Harris, przedstawiam ci moją siostrę, Carolyn Duncan, i panią Valentine Smith.

Tom uniósł brwi.

- Witam czarujące panie! - Spojrzał wymownie na Valentine. - Nic dziwnego, że stary Raleigh stracił zapal do pracy w tym małym miasteczku.

- Harris - upomniał go Coseegan.

Nagle tłum ożywił się. Nadchodzili państwo młodzi.

- Czyż nie wyglądają pięknie? - zapytała Carolyn.

- To prawda.

W momencie gdy Randolph i Mimmi zostali ogłoszeni mężem i żoną, okrzykiem radości i szczęścia nie było końca.

Przyjęcie rozpoczęło się. Valentine, Lucy i Carolyn nie mogły się nadziwić, że wszystko szło tak wspaniale. Było mnóstwo jedzenia, picia. Wszyscy sobie nawzajem pomagali, cieszyli się i bawili. Orkiestra grała muzykę włoską i południowoamerykańską. Na pewno długo jeszcze będzie się wspominało to wspaniałe wydarzenie.

Nagle panna młoda wyrzuciła w górę welon i mimo że Valentine w ogóle nie chciała go złapać, wylądował prosto w jej rękach. Wszyscy uważali to za dobry żart, ale jej zrobiło się głupio.

Ignorując namowy Toma Harrisa, Raleigh obserwował Valentine.

W chwili gdy złapała welon, wykrzyknął:

- To się stanie już niedługo! - Ten znak dodał mu wiary. - Żenię się z tą kobietą i zostaję tutaj, Tom. Więc nie trudź się już.

Harris schwycił go za ramię i odciągnął na bok.

- Daj spokój, Raleigh. Co cię tak opętało? Przecież ty nie nadajesz się na męża! Gdzie ją poznałeś? Co o niej wiesz? Byłeś tu tylko kilka tygodni!

- Nie uwierzysz, kiedy powiem ci, w jaki sposób ją poznałem. Randolph chciał mieć tancerki na swoim kawalerskim przyjęciu, a w tym mieście nie ma

ich wiele. - Ściszył głos i zaczął mu po kolei wszystko opowiadać: o Angelinie i Farrah, o ich wspaniałej komedii...

Tak go to zajęło, że nie zauważył nawet, iż do stolika, przy którym stali, podeszły Valentine i Carolyn. Przez chwilę kobiety słuchały z uwagą.

Val zamarła z przerażenia. A więc śmiał się z niej przez cały ten czas. Była zaszokowana. Opowiadał Tomowi o jej sklepie i o tym, że kupił cały budynek. Miał zamiar dać jej go w prezencie ślubnym.

Tego już za wiele, nie mogła więcej słuchać. Czemu chciał podarować jej ten dom? Czy miała to być zapłata za wszystko, co jej zrobił?

W tym momencie lunął deszcz. Goście schowali się pod namioty. Valentine, mimo że powinna zostać, myślała tylko o jednym: o ucieczce.

Łzy płynęły jej z oczu, mieszając się z kroplami deszczu. Szpilki, które miała na nogach, grzęzły w miękkim gruncie.

- Valentine, poczekaj! - krzyknęła Carolyn, ale nic już nie mogło zatrzymać dziewczyny.

Nie wiedziała, dokąd idzie. Cudem dotarła do swojego samochodu i, nim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać, odjechała.

Jakże cierpiała! Nie sądziła, że przeżyje to wszystko. Jeszcze nigdy nikt nie potraktował jej w ten sposób.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie obchodzi ją, co o tym wszystkim powiedzą ludzie. Udowodniła im, że jest osobą, która zasługuje na szacunek. Nie martwiła się więc o reputację. Czuła tylko ból w okolicy serca.

Zanim się zorientowała, dojechała do domku nad jeziorem. Z rozpaczą pomyślała, że nie ma tu już nic do roboty. Wiedziała, iż miesiąc miodowy para młoda spędza na Bahama. Wczoraj wieczorem Raleigh pokazał im dom.

Kilka minut siedziała w samochodzie i płakała. Potem poszła w kierunku domu, jej wymarzonego domu. Kiedyś myślała, że Raleigh kupił go dla nich. Teraz wydawało jej się to takie śmieszne!

Otworzyła drzwi.

Musiała jeszcze raz spojrzeć na te śliczne zakątki, o których marzyła w snach. Powoli przechodziła z pokoju do pokoju. Tak bardzo kochała ten dom.

Po chwili wyszła na zewnątrz, zamknęła drzwi i udała się nad zatoczkę. Wzięła olbrzymi zamach i wyrzuciła klucz. Zniknął natychmiast pod wodą, zniknął podobnie jak jej marzenia.

Nagle ciemność rozświetliły samochodowe reflektory.

„Och! - pomyślała Valentine. - Co będzie, jeśli to Randolph i Mimmi przyjechali tu przed wyprawą. Ale przecież to niemożliwe! Zaraz po weselu mieli odlecieć. Może się spóźnili?!”

Nie wiedziała, co robić. Nagle zobaczyła Raleigha wysiadającego z samochodu.

- Valentine! - krzyknął, biegnąc do niej. - Wiedziałem, że tu będziesz. Carolyn powiedziała mi...

- Nie dotykaj mnie!

- Valentine, tym razem musisz mnie wysłuchać. To wszystko wygląda zupełnie inaczej.

- Czyżby? Przecież słyszałam wyraźnie: byłam twoją zabawką, małą Angeliną, wesołą tancerką!

- To prawda, mówiłem tak, ale...

- A poza tym kupiłeś mi sklep! Niepotrzebnie! Jedna noc nie jest tego warta.

- Przestań! Nawet nie wiesz, dlaczego go kupiłem. Wejdźmy do środka, wszystko ci opowiem - powiedział spokojniej. - Mam już dość tej całej gry. Nie chcę, żebyśmy się ciągle ranili. Tej nocy, gdy kochaliśmy się tutaj - zaczął, kiedy znaleźli się w salonie - próbowałem powiedzieć ci, że cię kocham, że to wszystko jest bardziej skomplikowane, ale ty nie chciałaś słuchać! - Spojrzał na nią z wyrzutem. - Bałem się sam siebie. Przecież mam jeszcze jedno zadanie do wykonania. Obiecałem sobie, że to już ostatnie, że po nim wracam do ciebie! To dlatego zjawił się tu Tom Harris. Chciał wyciągnąć mnie z tego małego



miasteczka, ale gdy zobaczyłem, że złapałaś welon, już wiedziałem, wiedziałem, że resztę mojego życia mogę spędzić tylko przy tobie!

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że znasz tajemnicę Angeliny? Dlaczego?

- Nie kłamałem, pragnąłem cię od pierwszego naszego spotkania. Ale wiedziałem przecież, że nie chciałaś, by ktokolwiek dowiedział się o tańcu brzucha. Domyśliłem się wszystkiego na drugi dzień w piekarni, a Lucy powiedziała mi o podwyżkach Carruthersa.

- Raleigh, nie powinienesz być tego ukrywać!

- To nieważne. Musisz wiedzieć, że kupiłem ten dom tylko dla nas, dla ciebie i mnie. A Randolph i Mimmi zamieszkają w drugim. - Poprawił ręką mokre włosy. - Zrozum, nie było mi łatwo podjąć decyzję. Bałem się, iż nie jestem zdolny do małżeństwa, ale teraz już wiem, Valentine, że chcę się z tobą ożenić i chcę, byś piekła mi torty urodzinowe aż do końca mojego życia.

- A co się stało z twoim tortem, Raleigh? Nie widziałam go na weselu.

- Byłem tak zdenerwowany, że wszystko wyrzuciłem: i koc, i porcelanę, i tort. Wszystko.

- Nie zrobiłeś tego?!

- Zrobiłem. Uśmiechnęła się do niego.

- Teraz nie ma to już znaczenia. Będę ci piekła torty urodzinowe co roku. Teraz jedź, wykonaj swoje zadanie i wróć do mnie jak najszybciej.

- Valentine, kochanie, nie obawiaj się - powiedział, wyciągając do niej ramiona. - Jesteśmy przemoczeni - szepnął i pocałował jej mokre usta. - Powinniśmy się wykąpać i ogrzać.

- Pod warunkiem, że wypróbujemy później nasze nowe łóżko. Nie mogę się tego doczekać!

- Valentine, kocham cię.

- I ja ciebie, Raleigh. Naprawdę.

Pocałował ją delikatnie. Marzenie Valentine stało się rzeczywistością.